

TYGODNIK ILLUSTROWANY



STARA BALLADA

ANTONI GAWIŃSKI

KAZIMIERZ TETMAJER: EWOLUCYA I REWOLUCYA*).

Zwrócił się do mnie niegdyś, w epoce wyjątkowej, jeden z redaktorów warszawskich z życzeniem, aby mu napisać felieton pod tytułem „Współczesna dusza polska“. Wypadki jednakże leciały tak szybko, a „Współczesna dusza polska“ krystalizowała się tak rozmaicie, objawiała w tylu różnych formach i przybierała tak różne postacie, że ująć ją w jakąś kłamrę, powiedzieć jej: jesteś tą, a nie inną—niepodobna. Byłoby to rzeczywiście mierzenie „siły na zamiary“.

To pewna, że współczesna dusza polska przechodzi zmiany, jest w stanie wrze-

nia i formacji, w jakich nigdy nie była. Przewracają się i odwracają wartości. Stare—nie „prawdy“, bośmy w nie dawno, z wyjątkiem głupców, wierzyć przestali, ale stare zwyczaje ustępują z pola. Przewrót idei, wyobrażeń, przywyknień odbywa się w naszych oczach z dnia na dzień. Nie ostoi mu się nic. „Burżuj“, mieszczanin, szlachcic, arystokrata, nawet ksiądz, wszystko ulegnie zmianie i *uledez zmianie musi*. I czują to wszyscy ci z tych sfer, którzy mają jakikolwiek rozum w głowie. Zarówno wogóle wśród masy ludzkiej, jak poszczególne u każdego człowieka odpadną pewne przeżytki, na miej-

sce których wyrosną nowe zdobycze pojęć i chęci. Przekształca się człowiek, przekształca się rodzina, przekształca się społeczeństwo, przekształca się *dusza ludzka*. Nie brońcie okopów świętej Trójcy, wy, którzy ich bronicie! Czas wasz przeminął—musicie ustąpić, i nie pocieszajcie się tem, że jednak stary porządek rzeczy zawsze będzie wracał, że przetrwał on już „nie takie czasy“ i że „może się coś ugiąć, ale nie może runąć“. Owszem — może runąć i runie. Przedewszystkiem muszą runąć i runą przywileje warstw uprzywilejowanych; w tym kierunku rewolucja i ewolucja prą najmoc-

*) Z powodu książki El. Reclus.

niej, najuparciej i najpewniej. Wszystko inne jest niby pobocznym dodatkiem. Niższe sfery dźwigają się do góry—chłopi i proletaryat miejski. Chcą oświaty, chcą nauki, chcą poprawy i bytu i stanowiska w towarzystwie ludzkim. Idą ku temu może i nie zawsze drogą dobrą, ale idą w tak obrzymiej masie, że dojdą. Naturalnie, odbywać się to musi powoli. Nie może wieloryb wykonywać w morzu tak szybkich ruchów, jak szczupak w rzece, ale może nieskończenie dalej zapłynąć.

Nad przemianą wartości, nad przemianą ustrojów społecznych, odkąd ludzkość, raczej odkąd świat istnieje, pracują dwie moce: moc ewolucji i moc rewolucji. W tych dwóch drogach przerabiają się i przeinaczają światy, przerabia się i przeinacza ziemia, przerabia się i przeinacza ludzkość. One to, ewolucja i rewolucja, zapobiegają zastojowi, zamarcu istnienia, stwardnieniu i zaskorupieniu się jakiegokolwiek bytu. Wszystko musi naprzód dążyć—nawet śmierć stwarza życie. Nic nie może stać w miejscu. Wieczna twórczość przenika wszędzie—tworzy ciągle i bezustannie światło słońca, ruch oceanów, czy wewnętrzne stygnięcie ziemi, jak tworzy spokojna woda w sadzawce, czy rozmarzona leniwa dama w różowym staniku i białej spódnicy na balkonie.

Od czasów jednej z największych epok w dziejach ludzkości, od czasów rewolucji francuskiej, dwa te słowa: rewolucja i ewolucja, weszły przepotężnie na porządek dzienny myśli ludzkiej. I dlatego sądzę, nie od rzeczy będzie opowiedzieć, kto nie czytał, jak znakomity myśliciel francuski, Eugeniusz Reclus, dwa te wyrazy tłumaczy.

„Ewolucja—powiada—jest nieskończonym ruchem wszystkiego, co istnieje, nieustanną przemianą wszechświata i wszystkich jego części od przedwiecznych początków i przez bezkres wieków. Drogi mleczne, widne w bezbrzeżnych przestrzeniach, które się krystalizują i rozpadają w czasie milionów i miliardów wieków, gwiazdy, które się rodzą, które się skupiają i które umierają, nasz wir słoneczny ze swoją gwiazdą centralną, planetami i księżycami, a w ciasnych granicach naszego małego ziemskiego globu góry, które się wznoszą i nikną, oceany, które się tworzą, aby wyschnąć z kolei; rzeki, które się pienią w dolinach, a potem wyparowują, jak rosa poranna, pokolenia roślin, zwierząt i ludzi, które następują po sobie, i miliony niedostrzegalnych istnień, od człowieka aż do komara: wszystko to nie jest niczem, jak tylko przejawem wielkiej ewolucji, oplatającej wszechświat w swój bezgraniczny odmet.

„W porównaniu do tego pierwotnego faktu ewolucji i życia powszechnego czem są wszystkie te małe wypadki, nazwane rewolucjami astronomicznymi, geologicznymi, czy politycznymi? Prawie nieodczuwalne drgania, prawie złudy. Myriadami po myriadach następują po sobie rewolucje w powszechnej ewolucji; ale, jakkolwiekby były małe, są częścią nieskończonego ruchu“.

To jest to, co mówi Duch do Fausta:
„W falach żywota, w burzy czynów,
wznoszę się, spadam,
przędę tu i tam!
Narodziny i Śmierć,
wieczyste morze,
przezienną przędzą,
płonące życie,
przetwarzam przy warczącym warsztacie
czasu
i czynię żywy płaszcz bóstwu“.

Tylko Elizeusz Reclus nie widzi na końcu, czy u szczytu pracy: *bóstwa*, nie wie gdzie ewolucja przez rewolucje ku boskości. On trzyma się ziemi i poza nią nie sięga. *Wszystko* nie prowadzi ku żadnym nadmysłowym pojęciom—tu jest tylko ziemia.

„Wielkie dni są zwiastowane... Na końcu wszyscy przeciwnicy ustąpią i ustąpią bez walki. Przyjdzie dzień, kiedy Ewolucja i Rewolucja, bezpośrednio przechodząc z pragnienia w czyn, z idei do realizacji, zleją się w jedno i to samo zjawisko. W ten sposób działa życie w organizmie zdrowym, czy to człowieka, czy świata“.

Zrozumiemy jednak dobrze treść słów: ewolucja i rewolucja.

„Nauka—powiada Reclus—nie zna żadnego przeciwieństwa między temi dwoma słowami, które są do siebie tak podobne, ale które w mowie potocznej są używane w sensie zupełnie odmiennym od ich pierwotnego znaczenia... *Ewolucję*, synonim stopniowego rozwoju w ideach i obyczajach, przedstawiają jako przeciwstawienie tej strasznej rzeczy, jaką jest *Rewolucja*, dokonywającej przemian mniej, albo więcej brutalnych. Z pozornym, albo nawet i szczerym entuzjazmem mówią ludzie o ewolucji, o powolnym postępie w komórkach mózgowych, w tajniach rozumu i serca; ale niech im nikt nie mówi o wstrętnej rewolucji, która wylata nagle z głów, aby wybuchnąć na ulicy, przy akompaniamencie wycia tłumu i huku strzałów.

Tymczasem—powiada Reclus—dowodzi



BOGINI ŻYWILA.

A. GAWIŃSKI.

się tylko wielkiego nieuctwa, widząc między ewolucją i rewolucją kontrast, jak między wojną i pokojem, łagodnością i gwałtem. Rewolucje mogą się odbyć pokojowo, przez zmianę niespodzianą wewnętrzną, sprowadzającą przewrót w interesach; równocześnie ewolucje mogą być bardzo znojne, połączone z wojnami i prześladowaniami. Jeżeli wyraz ewolucja chętnie słyszą ci nawet, którzy ze zgrozą patrzą na rewolucjonistów, to znaczy, że nie zdają sobie sprawy z wartości tego słowa, gdyż rzeczy jako takiej chcą uniknąć za wszelką cenę“.

I powiada Elizeusz Reclus wielką prawdę, u nas tak bardzo dającą się zastosować. „Mówi się z uznaniem o postępie wogóle, ale odpycha się postęp w szczegółach“, czyli w danych faktach. Że jest właśnie to, co czyni nasza burżuazja, wszystko to, co się pod jej nazwą dziś podciąga, nie tylko zatem przemysłowcy, kupcy i fabrykanci, ale w czambuł i prawie bez wyjątków ci, którzy się liczą do „górných dziesięciu tysięcy“.

Reclus zakreśla pojęciu szerokie koło. „Ewolucja—mówi on—obejmuje zespół rzeczy ludzkich, a rewolucja powinna go również ogarniać, jakkolwiek nie zawsze widać powinowactwo pomiędzy poszczególnymi wydarzeniami, z których się składa życie społeczeństw. Wszelki postęp jest solidarny—socyalny i polityczny, moralny i materialny, naukowy, artystyczny, czy przemysłowy... Historia jest tylko seryą czynów, wynikłych z przygotowań—ewolucja poprzedza rewolucję, a rewolucja poprzedza nową ewolucję, matkę przyszłych rewolucji“.

Tu daje Reclus plastyczny przykład: dwa te przejawy różnią się między sobą tylko epoką pojawienia się. Ktoś buduje tamę na rzece, woda się zbiera i powstaje jezioro—ale woda przecieka przez tamę, podmywa ją i pewnego dnia następuje katastrofa, jezioro spływa, a rzeka staje się znowu rzeką, w pewnym kierunku płynącą.

To, co teraz z kolei następuje, jest bardzo mądre. „Jeżeli rewolucja zawsze się opóźnia w stosunku do ewolucji, to dlatego, że napotyka na opór, podobnie jak piorun, który huczy w niebie, ponieważ atmosfera przeciwstawia się błyskawicy, wyszłej z chmury. Każda przemiana materji, każda realizacja idei natrafia na opór inercji samych warunków, i nowy fenomen nie może inaczej powstać, jak tylko przez wysiłek, i to tem gwałtowniejszy, im potężniejszy jest opór“. Herder określał w ten sposób: „Ziarno pada w ziemię, długo wydaje się martwym, potem nagle kiełkuje, przebija twardą ziemię, wydobywa się na wierzch i staje się rośliną, która kwitnie i wydaje owoc“. I podobnie rodzi się dziecko, które z łona macierzystego wydziera się gwałtem, następstwo faktu ewolucyjnego.

Słusznie zwraca Reclus uwagę, że konsekwencya zjawisk rewolucyjnych i ewolucyjnych może się wydawać wątpliwą. Wprawdzie wielki Linneusz twierdził, że natura nie czyni skoków (*non facit saltus natura*), ale też w naturze nic nie staje się bezpośrednio jedno z drugiego, podobnie jak syn nie jest kontynuacją ojca, czy matka. (DN)

— To nie Zając, panie, to wilk!...
— prawil Kobielaak. — Przecie nie-
ma dnia ani nocy, ażeby nie robił
wojny... Wczoraj w Mokradłach na-
padli gminę i monopol... Zabrali
pieniądze... zniszczyli wszystkie pa-
piery i wódkę, a najgorzej, że po-
ranili kozaków. Kozacy wyjechali ła-
pać ich do Mokradeł, oni zaś furami
naprzeciw i napadli kozuniów nie-
daleko Sosnowicy... A onegdaj to
znowu Żydów na szosie zaczęli,
zabrali ze sto rubli i jeszcze chcieli
ich wieszać...

— W tym Zającu, czy Zającz-
kowskim zawsze siedział rozbójnik—
wtrącił Świrski.

— Nie można lada komu dawać
broni i wypuszczać bez surowego
zwierzchnictwa... — odezwał się Dę-
bowski. — Nawet żołnierz regularny
łatwo zostaje maruderem, a później
rozbójnikiem, nie dopiero jakiś tam
amator partyzancki!

Tymczasem stary Linowski strze-
łał z palców i patrzył w zamrażnięte
okna.

— Więc mówi doktor, że mu-
simy jechać do Grudy?...

— I to zaraz, o jedenastej!... —
odpowiedział Dębowski.

— A pan Kazimierz — zwrócił
się podleśny do Świrskiego — a pan
Kazimierz nie mógłby to z nami po-
frunąć w tamtą stronę?... Tam nikt
nie posądzi o stosunki z rozbójni-
kami czy partyzantami... Zresztą gra-
nica pod bokiem. Dwa razy dzien-
nie można być w Galicyi i z powro-
tem...

— Za przeproszeniem... — ode-
zwał się Kobielaak — pan podleśny dobrze
mówi. Powiesić to oni panicza nie powie-
szą, choćby złapali...

— Nie złapią mnie... — szepnął Świrski.
Panna Jadwiga spojrziała na niego z nie-
opisanym żalem.

— Panie Kazimierzu — wtrącił Dębow-
ski — słuchaj Kobielaaka, bo przez jego usta
mówi chłopski rozsądek... głos natury... Nie
szukaj guza, kiedy możesz go uniknąć...

— Panie doktorze, tyle razy już tło-
maczyłem się: dlaczego Władek musi jechać
do jakiegoś bezpiecznego kąta, a ja — jeszcze
nie mogę... Kiedy Władek wyjedzie, mnie
jeden ciężar spadnie z serca, ale zostaną
jeszcze trzy: Starka... Chrzanowski... Lisow-
ski... Dopóki ich nie znajdę, dopóki ich
nie wyprawię, nie mogę ruszyć się stąd. Nie
wolno mi...

Stary Linowski, słuchając tego, pod-
niósł ramiona i rozłożył ręce... Ale doktor
nie dał za wygraną...

— Najprzód nie ma pan pewności, że
owi trzej młodzieńcy już nie uciekli, bo u nas



WIZYA.

A. GAWIŃSKI.

już nie mają nic do roboty. A następnie,
przypuściwszy, że ich aresztowano, co zyska
tedy i rewolucya w Rosyi, gdybyś za swo-
imi kolegami i pan poszedł do kozy?...

Świrski potrząsnął głową i rzekł:

— Mnie do kozy pójść nie wolno...
prawda, Władku?... Ale i nie wolno mi po-
rzucić ludzi, których namawiałem... poniekađ
kształciłem... którzy zresztą na moje wezwa-
nie poszli...

Głos załamał mu się i umilkł.

— Więc niech nas kobiety rozsądzą —
odezwał się z gniewem doktor. — Pani Li-
nowska dobrodziejko: czy Świrski ma zostać,
czy jechać do Galicyi?...

— W imieniu jego matki, powiedzia-
łabym: jedź, synku, bo tu dziś nic nie zro-
bisz!... A jeżeli chce być w kraju, proszę,
ażeby został u nas... Już ja go przechowam.

— I my wszyscy!... — odezwał się Ko-
bielaak. — Prędzej strażnicy wyłapią wiewiórki
z naszych lasów, aniżeli znajdą panicza, jak
się między chłopów dostanie...

Dębowski niecierpliwie machnął ręką.

— No, a teraz panna Jadzia
ma głos!... Powinien Świrski zo-
stać?...

Panience oczy jakby powięk-
szyły się. Spłotła ręce i ledwie dosły-
szalnym głosem odpowiedziała:

— Pan Świrski musi zostać,
dopóki jego koledzy...

Nie dokończyła i wybiegła z po-
koju.

— Władek — syknął doktor — idź
do stajni i kaź zaprzęgać... A Ko-
bielaak niech sprowadzi swego konia,
to odwiezie mnie do Hut... Cho-
lera z temi apostołkami... z temi
uświadomionemi działaczkami!...

Kobielaak podniósł się z krze-
sła i podziękował pani Linowskiej
za traktament. Dębowski zirytowany
zaczął kręcić się po pokoju, a zna-
lazszy swoją bobrową czapkę, wy-
biegł z pokoju razem z Władkiem.

Gdy znaleźli się na dziedzińcu
i chłód ich ogarnął, rzekł doktor:

— Świrski zgubiony... Stryj,
o ile mógł, przewracał mu we łbie...
rewolucya jeszcze lepiej przewróciła
mu we łbie, a teraz panny do-
rzną go...

— A ja mam dobre przecucia
i wiem, że wszystko skończyłoby się
jak najlepiej, gdyby...

— Utrzyj psu nos przecucia-
mil... — odparł doktor. — A cóż to
za gdyby?...

Władek spochmurniał.

— Pan doktor żartuje, a według
mnie jest najgorsze, że... Kazio nie
ma pieniędzy...

Doktor zatrzymał się obok zamrażnię-
tej studni z żórawiem.

— Nic nie ma?.. — zapytał.. — Więc
z czemu wybieraliście się na wojnę?

— Kazio w piątek rozdał prawie wszyst-
kie pieniądze — odparł wciąż obrażony Wła-
dek, stojąc bokiem do Dębowskiego.

— Ładnieby wyglądał — mrucał doktor.
— Bo przecież chłopci i nawet Żydzi ukryją
go, to pewne, ale... albo musi im grozić,
albo musi płacić... Dobrze, żeś mi o tem
powiedział...

— Więc pan doktor...

— No, pieniędzy mu nie dam, bo sam
ich nie mam, ale zaciągnę pożyczkę w Hu-
tach, zresztą powiem Weintraubowi...

— Kochany... złoty pan doktor!... —
zawołał Władek.

— Idź do stajni... idź... i kaź zaprzęgać...

W kwadrans później Linowska, usił-
jąc pohamować łzy, pakowała rzeczy męża
i syna, a panna Jadwiga w mały koszyczek
układała zapasy żywności na drogę.

(CDN)

Z CYKLU: „OGRÓD ANIELSKI“.



A. GAWIŃSKI.

GUSTAW OLECHOWSKI:

S T R A C H.

Nie chcę wiedzieć, jak się dzieje pod tym względem u innych narodów, ale u nas strach jest dominującym elementem w psychy zarówno zbiorowej, jak pojedynczej jednostki.

Jeżeli się szuka zwyrodnienia i skąpowacenia dusz naszych, jeżeli się je znajduje, to właśnie w tej właściwości manifestuje się ono najpotworniej.

Gdziekolwiek skierujemy oko obserwatora, czy w stronę życia politycznego, czy domowego, do życia komórek naszych społecznych towarzystw, czy do szkoły i pedagogii, do prasy, czy do salonu, do sztuki wreszcie, wszędzie ta sama bojaźń, strach przed wypowiedzeniem się, strach przed konsekwencją i odpowiedzialnością za swoje myśli, słowa i uczynki.

Strach rodzi martwość, bo strach powstrzymuje od kroku naprzód.

Weźmy dla przykładu człowieka konserwatywnego aż do zgrzybienia, człowieka o zmurszałych zasadach i starym sposobie myślenia. Tym człowiekiem może być nawet młodzieniec. Nic to. Dlaczego on jest takim? Dlaczego do niego nie ma dostępu „nowe słowo“. Dlaczego on nie dopuszcza nieraz nawet dyskusji w wielu wypadkach? Bo strach go przepełnia, gdy pomyśli, że dyskusja ta może wysadzić go ze starych, wygodnych ram i narzucić mu nowe, które pociągną za sobą nowe konsekwencje i obowiązki, że się naruszy równowaga jego błędnego stanu umysłowego kwiatyzmu.

Dlaczego takiego a takiego męża stanu, polityka czy działacza charakteryzuje impotyzyzm i bezcelowe kunktatorstwo? To jakiś wrodzony, czy nabyty przeklęty strach przed czynem, przed odpowiedzialnością, to jakaś znaturalizowana w organizacjach współczesnych hypokryzja względem samego siebie, która jest tylko przyrodnią siostrą strachu przed szczerością.

Czem objaśnić coraz mniejszą liczbę małżeństw wśród sfer inteligentnych i uprzywilejowanych, jak nie

strachem przed powagą życia, bo o warunkach materialnych mowy być nie może tam, gdzie setki tysięcy wspólnych wolnych kobiet żyje zbyt kłótnie z kawalerskich oszczędności, i tam, gdzie niezliczone zbyt kłótnie kabarety istnieją na koszt i dla pocieszenia bezdomnych i bezrodzinnych kawalerskich samotników.

Strach przed jakimkolwiek angażowaniem się ze swym przekonaniem knebluje usta stowarzyszonym, związkowcom, klubowcom, którzy, obłożnie chorzy na strach, żyją w atmosferze *status quo ante* swych stowarzyszeń, związków i klubów.

Rozrzedzone wodą artykuły przeważnej części prasy, nie dosolone wiecznie i bez smaku, tak znieprawili potrzeby nasze w tym kierunku, że dziś uważamy za niezwykłe zjawiska te dwa czy trzy pisma polskie na kilkadziesiąt istniejących, które dzięki wybitniejszym osobowościom swych redaktorów zdolne są do nadania słowu charakteru czynu przez umiłowanie właśnie odwagi, przez to, że wypędzili strach za siódmą granicę, a szczerość sprowadzili z długoletniej banicy.

A gdy zreasumujemy nasze syzyfowe wysiłki lat ostatnich kilku ku odrodzeniu, gdy przebiegniemy tytaniczne wielorakie początki, zakończone już nie karłimi rezultatami, ale przerwane w biegu, z zaprzepaszczeniem straconych sił, to wglądnijmy w siebie i powiedzmy, że strach, strach przed wielkimi czynami łamał nas, krzywdząc historię.

A w sztuce! Literatura nasza, oprócz paru nazwisk (na palcach jednej ręki zliczyć je można), po całym swym bogactwie liczbowym wielkich, głębokich talentów, iluż posiada śmiałych rzeczników swoich ideałów? Iluż z nich nie ma strachu w powiedzeniu w twarz społeczeństwa nagiej prawdy?

A gdy przejdziemy z dziedziny życia społecznego do spraw interesów materialnych, i tu zobaczymy

skutki tej szczepionki strachu, która przyjęła się u nas aż do zbytku. Boimy się handlu, przemysłu, boimy się ryzykować kapitały, oddając kraj w obce ręce.

Boimy się błędzić. Tak jakby błąd był grzechem. A z błędów właśnie rodzi się doskonałość, bo doskonałość będzie tam, gdzie się czyni wiele a śmiało, a gdzie się czyni wiele, tam się błędzi często.

Skąd on się jednak wziął, ten strach? Czyżby był nam wrodzony? Czyżby go nam jakieś przekleństwo historyczne przekazało w bezwiednej tradycji?

Lecz nie mamy na to świadectw w historii Rzeczypospolitej. Jasno tam było, szczerze, męsko i odważnie.

Nie, ten strach jest konsekwencją klęsk narodowych, jakie rozszalały nad naszymi głowami od upadku Kościuszki i wciąż jeszcze szaleją.

Tem strach jest chorobą polityczną narodu, tak jak człowiek, któremu jest coraz gorzej na świecie, boi się cienia myśli o zmianie. Ale dlatego właśnie coraz mu gorzej.

Przepełnieni jesteście dobrmi chęciami, któremi potem brukujemy piekło dla następnych pokoleń.

Chcemy walczyć na polu ekonomicznym z takim potężnie zorganizowanym, bogatym w charakter, śmiałość i cierpliwość narodem, jak Niemcy! Chcemy i musimy.

Ależ możemy w zapasy wejść z nimi, tylko uzbrojeni w ten sam oręż odwagi, wytrzymania i pewności siebie. A czy posiadamy to? Czy nasze życie społeczne i prywatne każdego z osobna charakteryzuje odwaga doprowadzenia każdego zamiaru *aż do końca*?

Wykreślmy wprzód „strach“ ze słownika. Nauczmy naprzód dzieci i młodzież, by się niczego nie bała, ani myśli, ani słowa, ani czynu, a będzie nam igraszką zwalczyć smoka.

Z CYKLU: „OGRÓD ANIELSKI“.



A. GAWIŃSKI.

A. NOWACZYŃSKI:

ANTONI GAWIŃSKI.

Jak wąta dziewczanna na piaszczystych łąkach, tak rośnie dziwnie delikatnym urokiem wonna sztuka młodego marzyciela... z Warszawy. Antoniego Gawińskiego Marzenie o pięknym Nieistotnym Bycie.

Przeplływają przez dzień dzisiejszy fale za falami wszystkich pojęć o Pięknie, nowych i dawnych jego ogarnięć, metod, najnowszych doktryn, a ten młody marzyciel stoi na uboczu, na twardym brzegu swoich niewstrząśniętych przekonań, swojej żarliwej wiary w boskie, metafizyczne plastycznego piękna pomazanie i czeka, aż póki nie nadejdzie jego fala, największa, dziewiąta. Wtedy zapewne puści się w kruchej łódce swych sił malarskich na pełne morze i albo dopłynie do jasnej Atlantydy nieśmiertelności, albo zatoni. Jest bowiem z cierpliwszego materiału ludzkiego ulepił Gawiński. Więc albo zwycięży, albo zginie.

Tymczasem cierpliwie, stojąc na wyłomie skalnym, opowiada przeżycia swoje artystyczne, tęsknoty, z jasną inteligencją zdefiniowane, bóle nad zwycięstwem szarych płaszczyzn i niedźwicznych tonów. Na bezpretensjonalnych kartonach notuje swoje pokusy melodyjne, swoje tęczowe duety, etiudy linearne, swoje zaszczyt mu przynoszące pożądaną szczytną nieprawdę: Poezji. Gawiński jest problemem dość tragicznym, ale i dość częstym na kontynencie artystycznym; siły i środki, jakimi rozporządza technika jego talentu, nie stoją w proporcjonalnym stosunku do jego żarliwej dostojnego piękna religii, do jego najwewnętrzniejszego wyznania wiary w idealizm, do jego programu, do jego patosu. Dlatego, jako teoretyk, jako estetyczny kaznodzieja, jako czynnik w kultu-

ralnem życiu dzisiejszem, jest Gawiński poważnym już faktem, jako plastyk, wytwórca, spełniacz, dopiero zapowiedzią. W sumie wzięte, dotychczasowe jego transpozycje wartości muzycznych w barwne fragmenty sennych kompozycji mają charakter ilustrowania jakby najosobistszych swych stanów dusznych sanktuarycznymi spowiedziami o biednej sierocie Psyche. Tak w tych kartonach nie odczuwa się nic z rzemieśnictwa, fachu, profesji, tak nic z zawodnego zawodu malarskiego, że, oglądając



Antoni Gawiński.

je, ma się smakoszowskie zadowolenie z poznania jeszcze jednego polskiego egotysty plastyka, który szerokiej publiczności decyduje się od czasu do czasu odczytywać ustępy ze swego estetycznego pamiętnika, ba! nawet zapoznawać ją z wytwornie powłóczytymi Primaverami swej fantazyi, z Goplanami swych snów, z lekkimi zjawami najeteryczniejszej kobiecości, ze słodkimi arkiadyjskimi Hesperydami młodzieńczych pragnień samotnika.

Ta „młodzieńczość“ koncepcji życia najwięcej go chroni przed zwierzęco sensualistycznym naturalizmem. Już teoretyk Gawiński każdy swój referat czy teoremat streszcza niejako w syntezie cyceroniańskiej: „zresztą sądzę, raz już naturalizm należałoby przepędzić“.

Rozmarzony zaś młodzieniec, malujący swe *capriccia*, nie ma ani jednej uncji naturalizmu w swem dziele. Ten brak naturalizmu to są jego skrzydła ku niebu, ale jest wtem też i kamień młyński, przywiązany do szyi fantasty. Gawiński kocha ciało istotne, materialne, miększe, malarskie, jedwabiste, złocące się, a biegnąc doń, pada po drodze, splecione welonami i kwefami o splakanych, zmytych kolorach, tiulami zwiewnymi i polotnymi, w które okrywały się tak wdzięczne jego idee-dziewice, Krasopanie-Marzanny, jego kochanki, potomki Psychy i Abstraktu.

Dziwna, ozonu a melankolii pełna, czystość zaklęta jest w tych jego snach kolorowych o życiu bez chuci, bez krwi, bez grzechu. Aniołowie o białych szeleszczących cicho skrzydłach wypędzili z tego Edenu płomienistymi liliami, niby mieczami, wszelkie spermatozoa. To świat ciszy



PIEŚŃ WIOSENNĄ.

A. GAWIŃSKI.

i milczenia, Tebajda młodego ascety sztuki. Jakiś balladowy rytm mają te skromne koncepcje Gawińskiego, całkiem z lirycznego nastroju twórcy poczęte, tak przywołujące z pamięci całą pre-rafaeliczną kulturę angielskiego Bractwa, że czasem aż zarzut się profanom nawinie, czyli to nie zbyt rozkochane bywało, studiowanie *The Studio*? I to rozkochanie może spóźnione, epigoniczne, ostatnio-echowe (bo chyba już w dobre dziesięć lat po arystofanesowskim requiem, wyśpiewanem prefaelitom przez Mirbeau, po „Krachu lillii“)... Ale to zarzut profani i pozorny. Choć kontur Gawińskiego tak często naiwny, tak częściej poprawny i wytworny przypomina lekkością swą linearne finizeye Anglików, to jednak odczuwa się, że idzie on sam ze siebie, z mocy artysty i jego głębokiego przekonania, z tej jego w linię wiary, która jest mu tak przyrodzoną, jak i drugi rys jego twórczości (a także i jego propagandy), t. j.: duchowość, myśl, natchnienie, inspiracja.

I tu natrąca się na istotnie, poważne już znaczenie Gawińskiego, jako ewangelisty estetycznego, jako doskonałego pisarza artystowskiego, jako czynnego typu kultury. Rzecznik i glossator idealizmu w swej plastyce, walczy Gawiński piórem estetyka na kilka frontów.

Od lat kilku, jak św. Jerzy, toczy bój ze stunogim smokiem tego kierunku, który w myśl doktryny o wyższości dobrze malowanej „Kaśki z rzepą“ nad źle malowanym „Stefanem Batorym pod Pskowem“ odwalał bez litości i opamiętania pola z rzepą, zagony z burakami, otyle świnię, tępe typy burżuazyj i t. p. naturalizmu, niegdyś pedantycznie wydłubywane,

dziś rzucane w plamach „potężnych“, w notatach nonszalanckich, obrzydłe i nudne.

Zwalcza Gawiński monomanię naturalistyczną i w jej ostatniej fazie, t. j. w fanatycznym umiłowaniu brzydoty, kalectwa, bezkształtu proletaryackiego, histeryi „plamistej“, „rozwścieczeniu filistra“ i w tych wszystkich zwyrodniałych objawach całkiem wschodnio-europejskiej barbaryjności, które w ostatnich latach zaczęto w Warszawie identyfikować ze „sztuką nową“. I w tem zasługa młodego bojownika malowanej poezyi,

że ma odwagę iść przeciw prądowi trądowi, który, idąc od Wołgi i Petersburga i rozkrzykując anarchię jako indywidualizm, nieuctwo, jako bezpośrednie manifestowanie duszy, a odrażającą brzydotę, jako strach, karę i zemstę na filistrze, wprowadza najgorszy zamęt w państwo sztuki i swoimi embryonami gipsowymi, glinianymi położnicami i bohomazami murzyńsko-cerkiewkowymi odstręcza do reszty resztę miłującego kunsztu społeczeństwa od spóczesnej plastyki.

Dlatego też teoretyk i idealista w Gawińskim przesłaniają uzdolnionego i miłego artystę. Dlatego jego działalność, jako solidnego znawcy i miłośnika umiejętności i przeszłości malarstwa, przewyższa jego zalety poprawnego ilustratora jakichś może bajek fantastycznych lub kompozytora może bardzo przekonujących witrażów kościelnych. Jest coś w duszy Gawińskiego z Quatrocen-ta, co go czyni oddalonym, nie współczesnym, nie zdobywczym, całkowicie w swoim marzeniu rozkochanym, czystem malarstwem posługującym się, w czystych myślach zatopionym.

Możnaby o nim powiedzieć, że idzie w przyszłość niewiadomą, jak ten mały Tobiasz na Botticelowym obrazie „con gli Arcangeli“, z myślą, z miłością i z czystością.

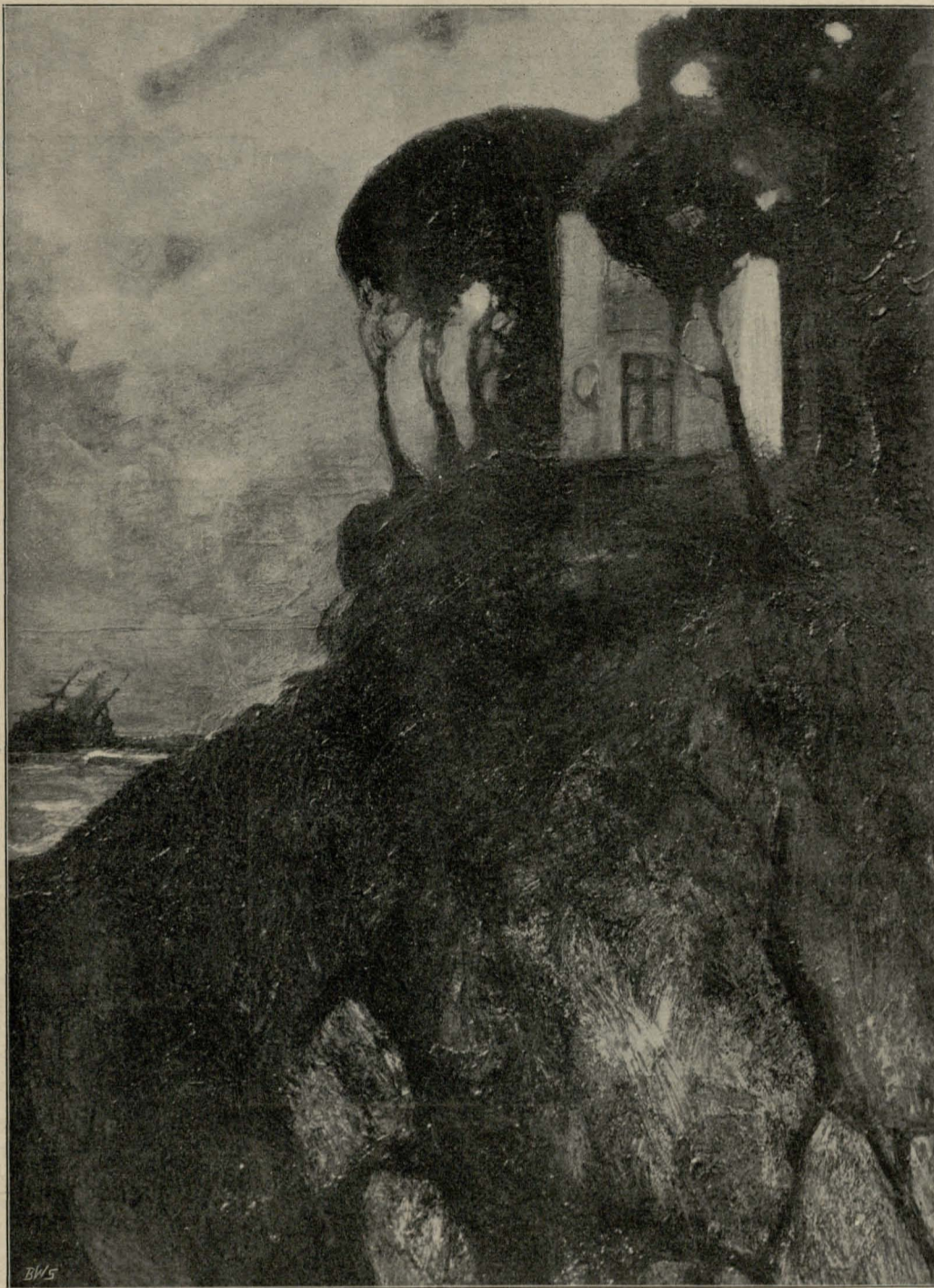
Teoretyk ma tuż przed sobą istne Augiaszowe stajnie; a w rękach, niestety, tylko płomieniste lilie miasto potężnych widłów, któremi znów przedpędzićby trzeba z widowni „Kaśkę z rzepami“, „gliniane embryony“ i „chłapanie mokre w mokre“ elukubraty historyczne w miejsce dawnych elukubratów przynajmniej historycznych.



„PRAWDA JEST W CUDZIE MARZENIA“.

A. GAWIŃSKI.

SAMOTNY GRÓB.



A. GAWIŃSKI.

WENECYA.

Jasny, promienny skier miryadem,
Olśniewający Lagun dyadem,
Aladynowej baśni ziszczenie.
Nirwany słodkiej cztery przestrzenie:
Niebo i Morze, Słońce i Miłość.
Epitalamium weselne dożów—
Seraj. Miłosnym jadem opitość—
Labirynt, który oplątał w kręgi
Edenów śnionych wschodnie lubieże.
Mozaikowe leże potęgi
Adryjatyckiej, której lwów czworo strzeże,
Niezwyčajonych—
Uwikłań czworo, czworo przestworzów:
Słońce i Morze, Niebo i Miłość.

Snuje się, gdyby kołowrotek,
Chyżo kłębi
Radośnie, w krag, dam kołowrotek
I gołębi.
Trzy bazylice tuż, na *Piazza*,
Słów kołowrotek furczy szparko.
I skrzy się w słońcu i rozślaca Santo Marco
Tum.

Na bazylice Świętego Marka
Lśni róż w emaliach, szafir i złoto.
Słońce-kochanek pieści jej lice

Majolikowe spojrzeń pieszczotą.
Kochankom wiernym najprzemilej
Godziny lecą.
Wydzwonił zegar na Kampanili
Zenit południa—*giorno mezzo*.
Barwi się żywiej i ucudnia
Róż w mozaice,
I szafir zakwitł na bazylice
Świętego Marka weneckiem złotem.

Mowy gołębiej miłosna gwara
Dzwoni i dzwoni na Marka placu
Nieutrudzona.
—*O mio caro!*—szczebioce Ona—
O mój pajacu!
—*O mia cara!* śpiewa On do Niej—
O przyjaciółko!
Na Marka placu w kółko i w kółko,
Wszędzie i wszędzie *Io t'amo* dzwoni
Weneckiem złotem.
Tłum się przesuwają, jak fale w toni,
Tam i z powrotem,
To od werendy, to ku werendzie.

Zwarł się z pałacem dożów
I w parę sprzął Święty Marek
Miłosnym splotem.

W plac z ulic płynie, albo z powrotem—
Z placu w ulice, tłum par i parek,

I bez par zgoła,
Tłum kochających i tłum kochanych
Głęboko, głębiej i jeszcze głębiej
Wenecyjanek.
Goreją lica, spojrzenia płoną
W czarnej ócz głębi.
Io t'amo woła w głos ukochanek,
Io t'amo grucha, wzorem gołębi,
Ukochanica.
To od krużganku, to pod krużganek,
Tłum par wiruje, gdyby wrzeciono.
Io t'amo woła gołąb-kochanek;
Io t'amo gołąb-ukochanica;
Io t'amo woła plac i ulica,
Miłością woła nieutrudzoną.
W kochanio-twórczy rytm serc wrzeciono,
Pchnięte w ruch, furczy.
Wśród słów, oddechów, spojrzeń zespolin,
Wśród migotania ócz Wenecyjanek,
Przy dźwiękach śpiewu z wtórem mandolin,
W pobliżu Lagun zielonej głębi,
Tłum par kochanków i bez kochanek
Tłum i gołębi, rwących z rąk ziarnka,
Tłum rozedrgany na Marka placu,
Od bazyliki ku bazylice,
Tam i z powrotem snuje się, kłębi,
Serca tęsknicę dowoli kojąc,
Szczęsny żywotem.

JAN LEMAŃSKI.

G O R A C Z K A

(WRAŻENIE ZE SZPITALA).

Cicho. Coraz ciszej, spokojniej. Zwolna łagodny półmrok rozlewa się w całym pokoju. Tłumi szum i zgiełk. Tylko zaś w uszach mi stuka i coraz mocniej kołacze, huczy... Bije serce... Tak prędko, mocno i tak głucho.. Zegar szeple- ni rytmicznie, gada zwolna, uparcie...

A za oknem szum wielki, wiatr jęczy i szlo- cha, to skocznie gwizdże, huka i łomocze, to znowuż popłakuje, skarży się, biada...

A drzewa w jeden wielki stulistny szum hu- czą i szumią długo, szeroko, daleko...

Ktoś idzie za oknem, po ogrodzie. Słychać cichy szepc czy mruczenie i stąpanie głuche po ścieżce.

Wiem, kto to idzie. Tak, to ona. Taka wy- soka, chuda, otulona w szal postrzępiony, a z głó- wy na tył opadła chusta i na plecach zwisa. Błyszczą białe czoło, głęboko patrzą przepaściste oczodoły. Idzie wolno, schyla się, rwie kwiaty i rzuca na ziemię i depcze, mówi cicho, mamfota coś do siebie... Idzie...

Lecą liście leniwym ruchem, jeden za dru- gim. Zsuwają się z drzew z cichym szelestem i padają na ziemię, ścielą się na ścieżce kobier- cem pod nogi jej—Śmierci.

Zmrok coraz tłumniej wchodzi do pokoju, rozsiada się czarny, ponury po wszystkich kątach, wchodzi za ramy obrazu, pod firanki i meble.

Tam, w rogu, za stolikiem, pod świętym obrazem stoi Strach. Rozlał się cieniem po obu zrębach ścian; pod obrazem, na ramie, dwoma mi- goce ślepiami i wielką kosmatą łapą zasłania i od- siania lampkę nocną, rzuca błyskające cienie po całym pokoju.

Wielkie opalowe, zażawione migają oczy strasznym śmiechem, patrzą na mnie uparcie.

Stuka... równo powtarza... szepleni w kącie zegar... Boję się. Niepokój coraz mocniej przejmuję mię, czuję w myśli popłoch pa- niczny.

Ciemniej, coraz czarniej w po- koju.

Z wysiłkiem rozpoznaję zarysy przedmiotów. Okno i blisko i da- leko—zjawisko, czy rzeczywistość, a Strach migoce lamką i okropnie śmieje się wyłupiastymi oczyma. Takie łzawe, łakome...

Idzie Śmierć do okna; położy- ła rękę na framudze i głowę wsu- wa między liście pelargonii i fuk- syi. Cicho szeleszczą.

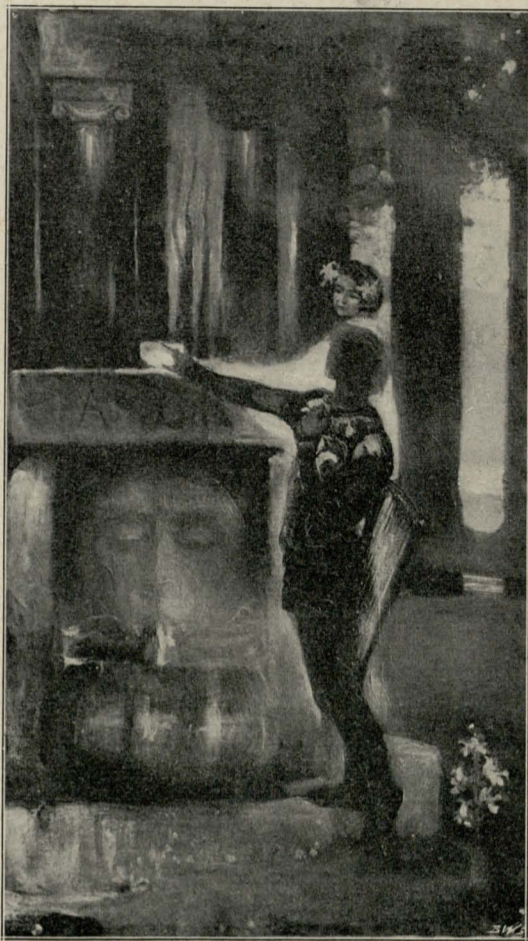
Tak ładnie wygląda biała wiel- ka czaszka w ramce z ponsowych kwiatów i kańciastych liści pelar- gonii, a z fuksyi ciężko kapia łzami kwietne kielichy na suchą kość.

Patrzy na mnie uparcie... ciągle...

Czemu ona tak patrzy?... Bo- ję się...

Strach rzuca szybciej światła, siania niemi po ścianach i kątach, rzuca na okno.

A na dworze huczy wiatr,



ŚLUBY.

A. GAWIŃSKI.

ciężko jęczą targane drzewa, i liście szeplenią, padając w mogiłę.



PARSIFAL.

A. GAWIŃSKI.

Zegar potakuje: tak, tak, tak, tak...

Śmieje się Śmierć. Śmieje się długo, prze- ciągle. W tył głowę przegina... i śmieje się...

Mocniej błyszczą oczy na ramie obrazu, szybciej skaczą światełka...

Śmierć zwolna, kłękając głucho, lezie na pa- rapet okna. Z szumem rozsuwa kwiaty i trzaska okiennicą, wspierając się ciężko. Mruczy coś do siebie, jęczy i wzdycha...

Wlazła. Siadła na oknie, zwiesiła do po- koju nogi, kręci młynka palcami, bębni szybko piętami kostnymi i cicho, cichutko chichoce...

Zobaczyła światełka skaczące; spowaźniała. Przechyliła się naprzód, wolniej kręci młynka i uważnie wodzi oczyma za światłem. Przygła- dała się... myśli...

Porywa się z szalonym wybuchem śmiechu, goni, chwyta skaczący ognek.

Przerażony Strach rzuca światła błyskawi- cami, a ona, z łomotem twardych nóg, biegnie, goni...

Porywam się i ja. Będę łapać światła. Do- kuczę Strachowi, dokuczę... dokuczę...

...Chwyciłem na ścianie, trzymam mocno, oburącz...

Już zobaczyła. Skrada się pod ścianę wol- no, cichutko, tuli się do muru, kocim ruchem peł- za i patrzy we mnie i idzie, przysuwa się...

Szepleni zegar na ścianie... i w uszach... Wszędzie, wszędzie.

Słabnę, ręce drętwieją, opadają. Miętko pa- da na ziemię świetlany cień. Uciekam, chowam się, ciągnę kołdrę na głowę... nie wiem, nic nie wiem...

Przyszła za mną, odbiera mi kołdrę... już ściągnęła...

Pełza po kolanach, po no- gach, po brzuchu, po piersiach... i patrzy mi w oczy i cicho, ci- chutko chichoce...

A zegar stuka ciągle, mono- tonnie, równo...

Na korytarzu kroki. Śmierć ogląda się, zsuwa, ucieka przez okno, widzę, wisi na rękach, trzyma się palcami haczyków. Trzaska, brzęczy szybami. Huczą drzewa, łka wiatr, jęczy i gwizdże szatańsko, żałośnie.

Zwolna otwierają się drzwi. Wchodzi zakonnica ze świecą. Światło promieniami rozbiega się po ścianach. Strach kurczy się, wciąga i wpełza zwolna za ramę obrazu.

Wielki, biały kornet pochyla się nade mną... Mówi coś... Opada... przesilenie... zostać...

Wielki spokój idzie do mnie... Zostanie ze mną, nie da mnie Śmierci... A Strach?... Strach?... Gdzie Strach?... Wypędźcie go, on tam, tam, za obrazem...

WŁ. ROGOWSKI.

Wielgachne chojary, kieby z miedzi wykute, wynosiły się nad nim, rzucając po oczach chwiejny i morzący śpikiem cień. Już się był całkiem zapadł w cichość, gdy zaturkotał jakiś wóz.

— Organistów parobek, na tartak wozi, juści—pomyślał, unosząc ciężką głowę, i opadł z powrotem, ale już nie zasnął, gdyż ktoś wyrzekł: Pochwalony!

Komornice wychodziły posobnie z lasu z brzemionami drzewa na plecach, zaś w końcu wlekła się Jagustynka, zgarbiona pod ciężarem prawie do ziemi.

— Odpuśćcie, a to wama już oczy na wierzch wylażą.

Przysiadła wpodłe, wspierając brzemię o drzewo i ledwie zipiąc.

— Nie la was taka robota —szepnął ze współczuciem.

— Juści, co już całkiem opadłam ze sił.

— Pietrek, a gęściej kupki, gęściej! —krzyknął do parobka.— Czemuż to waju nie wyręczą?

Jeno się skrzywiła, odwracając zaczerwienione, bólnie oczy.

— Takeście jakoś zmiękli, że ani was tera poznać.

— I krzemień puści pod młotem—jęknęła, zwieszając głowę —bieda chybziej przeżre człowieka, niżli rdza żelazo.

— Ciężki latoś przednówek nawet la gospodarzy.

— Kto ma jeno lebiode z otrębami, temu nie potraza mówić o biedzie.

— Bójcie się Boga, dyć przyjdziecie wieczorem, a znajdzie się jeszcze w chałupie jaki korczyk ziemniaków. Odrobicie we żniwa.

Zapłakała rzewliwie, nie mogąc wykrztusić tego słowa podzięką.

— A może ta i co więcej najdzie Hanka—dodał z dobrością.

— Żeby nie Hanka, tobyśwa już byli pozdychali —zaszeptala łzawo.—Juści, co odrobę, kiedy jeno będzie potraza. I nie za siebie mówię. Bóg ci zapłać! Cóż ta ja, ten śmieć jeno, co się go trepem następuje, ani wiedząc o tem, i do głodu niezgorzej wezwyczajonam, ale, jak te moje robaki kochane zapiskają: babulu, jeść! a niema czem zatkać głodnych brzuchów, to powiedam, cobym se te kulasy odrąbała, abo i z tego ołtarza zdarła i poniesła do Żyda, bych się jeno najadły.

— To znowuj siedzicie z dziećmi?

— Matkam przeciek. Ostawię to samych w takiej biedzie! A la-



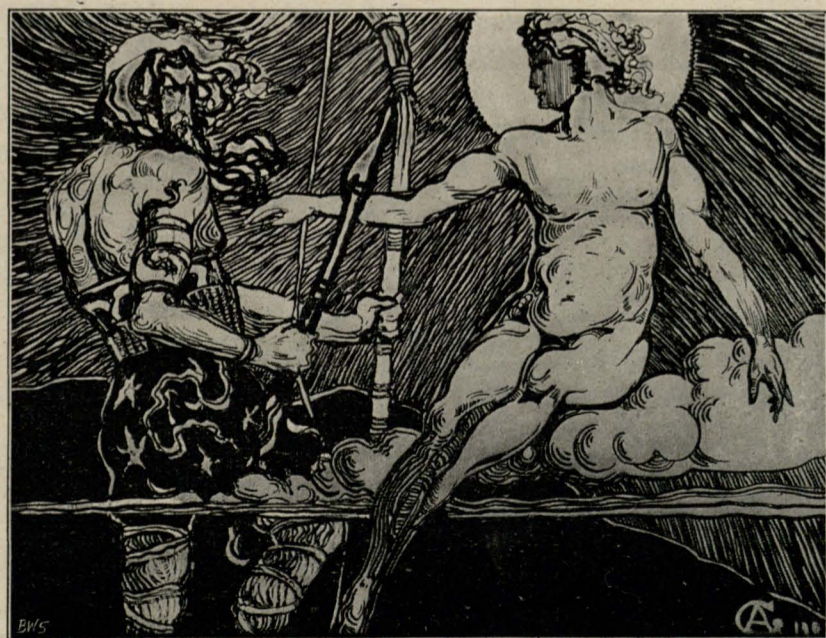
APOSTOŁ.

A. GAWIŃSKI.

toś jakby wszystko złe zważyło się na nich. Krowa im padła, ziemniaki zgniły, że trza było kupować do sadzenia, wiatery obaliły stodołę, a do tego synowa po rodach ostatnich ciężkiem chorzeje i wszycko ostało na tej Boskiej opatrności.

— Juści, bo Wojtkowi jeno gorzałka pachnie i pilno do karczmy.

— Z biedy się niekiej napijał, z czystej biedy, ale, jak dostał w boru robotę, to ani już zajrzy do Żyda, niech drugie zaświarczą—broniła syna gorąco.—Biedocie to kuź-



PERUN I SŁOŃCE.

A. GAWIŃSKI.

den kieliszek policzą! Pofolgował se Jezusiczek we złości, pofolgował, no, żeby się tak zawziąć na jednego głupiego chłopca. I za co? Cóż to złego zrobił?—mamrotała, podnosząc w niebo groźne, pytające oczy.

— Małościę to na nich pomstowali?—rzekł z naciskiem.

— Hale, wysłuchałby to Jezus głupiego szczekania! Juści—ale dodała, jakby trwoźniej i niespokojniej—kiej matka nawet wykłina dzieci, to i tak w sercu nie pragnie im krzywdy. We złości, to i ozór nie pości. Jakże...

— Wypuścił to już Wojtek łąkę, co?

— Młynarz przynosił na nią całe tysiąc złotych, ale ja wzbrowniłam, bo, jak temu wilkowi wpaść nie co w pazury, to mu już sam zły nie wyrwie. A może się jeszcze trafi kto drugi z pieniędzmi?

— Śliczna łąka, jak amen, tak pewne dwa pokosy w rok, że-bym tak miał grosz zapaśny! —westchnął, oblizując się, kiej kot do mleka.

— Już i Maciej chcieli ją kupować, że to rychtyg przylega do Jagusinego pola.

Drgnął na to imię, lecz dopiero w jakiś Zdrowaś zapytał, niby niechący, wlekąc oczami po polach, daleko.

— Co się to wyrabia u Dominikowej?

Ale przejrzała go w lot, prześmiewając wionął po zwiędłych wargach, rozjarzyły się oczy i, przysunawszy się, jęła mówić bolejąco:

— A co! Piekło tam i tyła. W chałupie kiej po pochowku, jaże mrozi od smutku, a pociechy znikąd ni poratunku! Jeno oczy wypłakują i Boskiego zmiłowania czekają! A już najbarzej Jagusia...

I, kieby przedzę, rozsnuwała różności o jagusinych smutkach, żalach i opuszczeniu. Mówiła gorąco, przypochlebiając mu się i jakby ciągnąc za język, ale milczał uparcie, gdyż znagła rozparła go taka żrąca tęsknica, jaże się cały rozdygotał.

Szczęściem, co powróciła Józka, niosąc z pół zapaski czernic, nasypała mu jagód w kapeluszu i, zebrawszy dwojaki, pobiegła w dyrdy ku chałupie.

A Jagustynka, nie doczekawszy się od niego ani słowa odpowiadzi, jęła się dźwigać, stę-kający.

— Poniechajcie! Pietrek, zabierz ich na wóz!—rozkazał krótko.

Chycił się znowu pług i jakiś czas cierpliwie krajał spieczoną twardą ziemię, przyginał się w jarzmie, kiej wół, dawał się wszystek tej pracy, ale i tak nie zdusił tęsknicy.

Już mu się dłużył dzień, że raz poraz spozierał na słońce i niecierpliwymi oczami mierzył pole, spory kawał leżał jeszcze do zaorania. Jurzył się też w sobie coraz bar-

zej i niewiadała czego prał konie, a ostro krzykał na kobiety, bych się prędzej ruchały! Tak go już cosik ponosiło, że ledwie ścierpiał, i takie myśle kłębiły się po głowie i przyćmiewały oczy, że coraz częściej pług mu się w rękach chybotał, zadzierając o kamienie, zaś pod lasem tak się był zarył pod jakiś korzeń, aż krój się oberwał.

Nie było sposobu dalej orać, zabrał więc pług na sanice i, założywszy wałacha, pojechał do dom po nowy.

W chałupie było pusto i wszystko leżało rozbabrane i zamączone, a Hanka kłóciła się z kimś w sadzie.

(DCN)



JAKÓB I RACHEL.

A. GAWIŃSKI.



ŹRÓDŁO MIŁOŚCI.

A. GAWIŃSKI

AKWARELE

do obrazów Antoniego Gawińskiego.

JAKÓB I RACHEL.

*Róże świtu w nadziemskim zapłonęły locie,
Aż gród Haran w ich woni zatonął najcudniej —
A pod skrzydlami drzewa u kamiennej studni
Drży cicha, smagła Rachel w Jakóbowym splocie...*

*I w ciszy modrej chłonie szczęście bezobłoczne
Dusza w duszę... Śni Jakób słodkie doli róże —
I Bóg słoneczny roi się Labaną córce
W otchłaniach, kędy śmione mrą gwiazdy wyrocne...*

*... Cienie złote! z niebieskich zablakane łanów,
W kurzu świętych promieni i w aniołów tęczy —
Dusze wam drżą radością błękitnych niebianów.*

*Jak pieśń ofiarnych zniczy, wyspiewana Bogu,
Gorą serca!.. A w górze — jakby lutnia dźwięczy:
Jakóbowy sen płonie na lazurów progul!..*

ŹRÓDŁO MIŁOŚCI.

*Na tłach śmionych szafirów liliowych oddaleń
Biel rzeki — i sznur duchów cyprysowych strzeże
Wrótni złocistych świątyń w modlitewnym szmerze —
Cisza... Tai się płomień świętych całopaleń*

*U źródła, skąd się sznurkiem cieniutkim perliście
Sączy woda — gdzie skutej miłowań obęczą
Parze kochanków dusze promienieją tęczą...
Usta gorą — jak zorze — przedziwno, ogniście...*

Oczy płoną — jak gwiazdy — z archaniołów dali...

*Cicha męko ust spiekłych od całunków żaru!
Cicha męko ust śpiewnych melodyą zaświata!*

*Błogostawion płon siejby odwiecznego czaru
We krwi lunach, jak w kirach żalobnych woali!..*

.. Oto umarłych szalów czarny gołąb lata...

Władysław Zalewski.

PAMIĘTNIKI IGNACEGO DOMEJKI *) (1831–1838).

Serdeczny druh Mickiewicza, ów „Żegota“ z upamiętnionej w „Dziadach“ plejady filomackiej i filareckiej młodzieży wileńskiej, Ignacy Domejko, na wieść o wybuchu insurrekcyi warszawskiej 1831 r., bez wahania porzucił ojczysty zagon, by niezwłocznie stanąć w szeregach walczących. „Nie pocieszała mię—pisze—piękna i wczesna ruń tej wiosny, zapowiadająca obfity plon na lato, ani gospodarstwo domowe, ni dom zapolski zaciszny i książki. Dniem i we śnie nasuwały się przypomnienia młodości z filomackich, z filareckich lat wileńskich na uniwersytecie, kiedy to tyle marzyliśmy o dobru kraju, o jego przeszłości świetnej i przeznaczeniu, o obowiązkach obywatela i owem: „m'ierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił“... Nawskroś czysta i szczerze patryotyczna atmosfera stosunków uniwersyteckich, rozbrzmiewająca hasłami pracy obywatelskiej, zaprawiała młodzież do przyszłych jej zadań, przenikała do najskrytszych fałdów serc, podnosiła myśl do zrozumienia ostatecznego celu związkowych trudów Zana i towarzyszy. Nie dziw więc, iż ci wszyscy, których oszczędziła lub nie dosięgła mściwa ręka Nowosilcowa, spotkali się przy obozowych ogniskach narodowego powstania, dziś z męską być może zadumą na czole, lecz z dawną, promienną wiarą, z filarecką piosnką w duszy, co była im i skargą, i bólem, i modlitwą, i do boju zachętą.

Początki wojaczki nie wiodły się Domejce; przedzierając się przez strażę nieprzyjacielskie do Warszawy, omal nie został ujęty przez dragonów rosyjskich; raz znowu ledwo uniknął śmierci z rąk partyzantów, którzy go wzięli za szpiega. Powróciwszy z niefortunnej tej wycieczki do Zapola, oczekiwał Domejko pierwszej tylko sposobności, aby zaciągnąć się do regularnego wojska, o którego zbliżaniu się na Litwę krążyły coraz pewniejsze wieści.

Jakieś oczekiwanie tęskne i radosne ogarnęło kraj, nad Bugiem i Niemnem rozciągnięty. Tworzyły się lotne oddziały ochotnicze, tu i owdzie doszło do potyczki, gdzie niegdzie zniesiono podjazd nieprzyjacielski lub magazyn zabrano. Jak w owym roku wojny, „obfitym we zdarzenia, nadzieją brzemienym“, o którym dziwy starce dzieciom gwarzyli, tak dziś odnowa wskrzesiły po zaściankach i dworach tłumne marzeń roje, pełne obrazów świetnej przeszłości, głośnych poszumem huzarskich skrzydeł, trzepotem orłów Raclawic, Raszyna, Somosierry...

Z mgły wspomnień występowały postacie zbrojne, marsowe a sercu tak przecie blizkie! Grzmot armat z pod Stoczka i Grochowa szedł echem po runi wiosennej i spr-

wił takie serc podniesienie, iż zdało się bic poczęły mocniej, potężniej. Zbudził się duch rycerski witołdowego ludu; Chłapowskiego, ciągnącego na Bielsk, Lidę wgłąb kraju, witano z zapalem i radością. Przyłączył się doń i nasz pamiętnikarz. Był to piękny dzień kwietniowy, słońce czyste, lekki wietrzyk muskał proporce ułańskie, trębacz grali: „Nasz Skrzynecki męzny“; nadzieja rosła w sercach, zapominano dawnych uraz sąsiedzkich, nieprzejednani do niedawna wrogowie rzucali się sobie w objęcia; nawet lud wiejski, niepomny krzywdy pańszczyźnianej, garnał się pod rozkazy wodza. W głuchym zakątku żmudzki jakimś starzec, kto wie, może żołnierz Kościuszkowski, przytrzymując cugle konia, którego dosiadał Domejko, „pocałował strzemie i podniósł rękę ku niebu“, jakby stamtąd wzywał pomocy dla sprawy. Głęboka wiara ludu litewskiego, przechowana w głuszy mateczników, jak niegdyś święte ognie Zniczów, jak nietknięte pogańskich objat ołtarze, dziś była dla serc tych biednych a prostych i szczerych talizmanem cnót ojczystych, potężną dźwignią moralną, wiodącą pod sztandary—stróżę prze-



IGNACY DOMEJKO.

szłości świątyń i jutrzeńne znamiona upragnionych zwycięstw.

Domejko był żołnierzem sprawy, nie wyróżniał się ani zdolnościami wojskowemi, ani wyjątkową walecznością; w szarym tłumie pozostał,—lecz tu właśnie może być uważany za typ rycerza-szeregowca, co nie jak rekrut, jak wojak na urząd, szedł bronić tego, o czem dniem i nocą śnił w swej filareckiej młodości.

Dziś tych ludzi sądzić można dwojako, albo z krytycznym skalpelem badacza roztrząsać ich winy i zasługi, lub też patrzeć na nich przez mgłę oddalenia z czcią Polaka, z rzewnem Polaka wzruszeniem—a wtedy zjawia się, jak „piękne mary senne“, co ponurą noc naszego bytowania rozjaśni blaski cudnymi i napoją zwątlale serca najpiękniejszym balsamem żywota, balsamem nadziei.

Po niefortunnem zakończeniu wyprawy litewskiej, co do której, nawiasowo zauważymy, pełno jeszcze w naszej historyografii sporów i kontrowersyi, przeszedł Domejko z oddziałem Giełguda do Prus; poszedł na tułaczkę emigracyjną. Dzieje tego *exodus* polskiego wojska, skazanego na poniewierkę pruską, niejedną kartę, zaprawioną żółcią i łzami, zapełnia; „ku gorzkości przywodził żywot ich“, powiedziec można o Polakach, pozostających w niewoli germańskiej. Bolesną skargę do Boga na te męczeństwa tułaczy złożył wieszcz narodu w przejmującej modlitwie pielgrzymiej.

Po dwumiesięcznej kwarantannie w Ascheken i wielokrotnem przenoszeniu z miejsca na miejsce, pozwolono wreszcie Domejce wyjechać do Drezna. Tu spotkał się z Mickiewiczem, Odyńcem, Garczyńskim. W gronie rodaków i blizkich sercu przyjaciół zawarły silnem tętnem wspomnienia dni ubiegłych, wybiegano myślą w progi domowe, snuto w pokoiku Adama, jak ongi w celi bazylikańskiej, pasma rojeń, długie gawędy przyjacielskie, układano plany przyszłości. Wtedy powstała „Dziadów“ część trzecia, „Wacław“ Garczyńskiego, pierwsze zarysy „Pana Tadeusza“, mającego pierwotnie nazywać się „Żegotą“, wreszcie cały szereg pomniejszych utworów Mickiewicza, Odyńca i innych. Skutkiem nalegań policji drezdeńskiej emigranci nasi zmuszeni byli opuścić Saksonię i drogą na Strasburg udali się do Paryża.

Opis życia w stolicy Francji stanowi najważniejszą część pamiętników Domejki. Skreślone zamasztem piórem sceny z życia paryskiego, charakterystyki wybitnych osobistości wśród naszych wychodźców oraz głośnych polityków i uczonych francuskich, składają się na barwną, żywą i wielce interesującą opowieść, którą się czyta z nie słabnącem zajęciem. Przesuwają się przed oczami czytelnika, jak w kalejdoskopie, opisy uliczne Paryża, tego „ville de bruit“, pełne obrazów jaskrawych, dyszących ogniem Południa, pełnych iście francuskiej werwy i temperamentu. Miał Domejko duszę gorącą i wrażliwą; odczuwał i rozumiał życie, w którym się obracał. Spostrzeżenia, owiane właściwą sobie szlachetnością uczuć, umiał nadto wyrazić stylem prostym, zatracającym niekiedy litewskim prowincjonalizmem, lecz zawsze doradczym i do duszy trafiającym. Pamiętniki Domejki, poważnej wartości historycznej i obyczajowej, ukazują nam całą jaźń duchową tego, co był Filaretą—żołnierzem, „pierwszym na Litwie ekonomem“, a marzycielem-wygnańcem z Ojczyzny, a wszechświatowej sławy uczonym.

Książka piękna, serdeczna i prosta, jak nieskalane życie jej autora.

HENRYK MOŚCICKI.

*) Pamiętniki Ignacego Domejki (1831—1838); z autografów wydał Józef Tretiak. Kraków, 1908, str. VIII + 226. Nakładem Akademii Umiejętności (Źródła do dziejów Polski porozbiorowych, t. V).

WYDAWNICTWA SZKOLNE AUTORÓW.

Na zebraniach plenarnych i sekcyjnych zesłorocznego zjazdu filologicznego w Warszawie rozpatrywano między innymi niezmiernie ważną sprawę doniosłości i metody wykładu historii literatury w średnich zakładach naukowych.

Uznano, że wykład ten posiada niezmiernie wysokie znaczenie, nie tylko kształcące, ale i wychowawcze, zganiono dotychczasowy sposób wykładu, polegający na segregowaniu w porządku chronologicznym zimnych, niemych dat, nazwisk, tytułów, wreszcie wyrażono życzenie: aby jak najwięcej zaznajamiać uczniów bezpośrednio z żywymi utworami piśmiennictwa, udzielając im tylko pomocy w odnajdywaniu piękna treści i formy, w wyprowadzaniu prawidłowych wniosków, co do wartości estetycznej i moralnej utworów.

Myśl ta nie nowa, ale wypowiedziana publicznie, w gronie kilkuset nauczycieli, z różnych dzielnic kraju przybyłych, zrobiła swoje: pobudziła do zastanowienia, do rewizji metod wczorajszych i onegdajszych.

Już w r. 1884, a więc dwadzieścia kilka lat temu, pisał Chmielowski w redagowanym przez siebie *Ate-neum*: „Od lat już kilku w gronie pedagogów warszawskich powstała była myśl opracowania dla młodzieży najcenniejszych utworów literatury ojczystej, z powodu nieodzownej potrzeby zaznajamiania jej w sposób umiejętny z tem, co czytać i znać powinna. Częstokroć zdarzało się bowiem słyszeć z ust młodzieży najdziwniejsze pojęcia o arcydziełach ojczystych, pojęcia, polegające na zupełnym niemal niezrozumieniu ducha i formy utworów poetyckich, a wynikające z niesłuchanie u nas zaniedbanego przygotowania do lektury samodzielnej”.

Słowa te przypomniał Ign. Chrzanowski w artykule: „Wydania szkolne autorów polskich” (Nr. 9 *Książki* z r. 1906), z powodu wydawnictwa F. Westa w Brodach p. t. „Arcydzieła polskich i obcych pisarzy (dla użytku szkolnego)”. Wydawnictwo to, rozpoczęte w r. 1902, w ciągu sześciu lat osiągnęło poważnej liczby sześćdziesięciu tomików, w których zawarły się największe arcydzieła piśmiennictwa polskiego (i obcego), w poprawnych tekstach, ze wstępami i komentarzami.

Podobne próby podejmowano już i dawniej (np. wydawnictwa lwowskiej Macierzy Szkolnej, „Biblioteka dla młodzieży”, rozpoczęta przez nauczycieli szkół wyższych we Lwowie); nie prowadzone jednak systematycznie, urwane na kilku numerach, pozostały te wydawnictwa bez szerszego wpływu.

Widzimy więc, że postulaty, postawione na zjeździe filologicznym, nie były bynajmniej nowym odkryciem. Ale postawiono je w samą porę: w chwili ściślejszej organizacji szkolnictwa polskiego w Królestwie Polskim, szukania i pożądanego nowych dróg, nowych środków metodycznych i pedagogicznych. Nietrudno było przekonać współczesnych reformie i szczerze pragnące dobra powierzonej mu młodzieży nauczycielstwo polskie, że żadne streszczenie, choćby najtroskliwsze, żadna charakterystyka, choćby najgenialniejsza, nie zastąpi żywego tekstu, bezpośredniego przemawiania arcydzieł do dusz młodzieńczych: streszczenie uleci z pamięci, jak dym, charakterystyka — rozwieje się w mgłach myśli, a przeczytany w całości utwór zawsze pozostawi ślad w umyśle i sercu.

Dążenie do zaznajamiania młodzieży z utworami literatury bezpośrednio wynika z ogólnych przeobrażeń metodyki szkolnej, które dokonywają się na Zachodzie od lat wielu, u nas — z konieczności — od niedawna. Dziś nikt nie uczy np. nauk przyrodniczych z książki, nie każe dziecku „wykuwać” na pamięć, z jakich części składa się jakaś roślina, ale pokaże uczniom dokładny wizerunek (rysowany lub modelowany) albo, jeszcze lepiej, żywy okaz i pobudzi dzieci do odnajdywania cech zasadniczych. Zaciekawienie podnieca się, a pamięć wzrokowa dokonywa reszty. To samo dzieje się w zakresie historii literatury: suchy opis organizmu zwierzęcego lub roślinnego — to streszczenie lub charakterystyka, a żywy okaz — to sam autor, podawany do rąk uczniów w całości.

I jaka w tych razach nasuwa się mnogość uwag, postreżeń samodzielnych, wniosków! ileż materiału do wymiany myśli między wykładającym a młodzieżą! ileż przedmiotów do samoistnych dociekań, ustnych czy piśmiennych! Były tylko nie wpadać w drugą ostatecz-

ność i nie rugować zupełnie wykładu systematycznego kursu historii literatury ze szkoły polskiej! Byłaby to szkoda oczywista, i tego czynić nie należy.

Zjawiają się więc nowe potrzeby szkolne: dostarczenia uczniom tanich wydawnictw arcydzieł literatury z objaśnieniami. Czy książeczki Westa mogą tym potrzebom zadośćuczynić? Nie mogą, jak to doświadczenie okazało: książki galicyjskie w niewielkiej zaledwie ilości znajdują się na składach księgarskich w Warszawie, w większych partjach nie są zamawiane, bo — wiadomo, na które z nich może być zapotrzebowanie, w liczbie jednego czy kilku egzemplarzy sprowadzać — za wiele zachodu, *le jeu ne vaut pas la chandelle*, słowem, trudności niemal nieprzezwyciężone, a tu książki muszą być w rękach wszystkich uczniów jednocześnie, by nie było wymówek: „nie mogłem dostać”.

Wszystkie te kłopoty pedagogiczne usunąćby mogły tylko edycje miejscowe, warszawskie. I edycje takie zjawily się, nawet zjawilo się ich kilka, co świadczy nie tylko o niezdrowej u nas na każdym polu konkurencji, ale i o istotnej takich wydawnictw potrzebie.

A więc przedewszystkiem *Biblioteczka narodowa* wypuściła dwadzieścia kilka numerów, gołe teksty, bardzo niekrytyczne, nie bez błędów drukarskich, a przytem bez wszelkich objaśniających wstępów, komentarzy rzeczowych i językowych; wydawnictwo tanie, bo tanie, ale poza tem żadnych zalet nie posiada.

Na wyższym nieco stopniu stoi *Biblioteczka polska*: książeczki mają i wstępy, i komentarze; ale i wstępy, i objaśnienia traktowane pobieżnie, bez uwzględnienia istotnych potrzeb młodzieży i nauczycieli, przytem nie bez grubych błędów faktycznych. Numerów jest zaledwie kilka (Słowacki, Mickiewicz, Pol, Brodziński i inni), trudno więc przesądzać, jak się dalej wydawnictwo rozwinie; tymczasem życzyliby należało, ażeby komentatorowie przykładali więcej staranności i sumiennosci w opracowaniu tego, co poza tekstem znajdujemy w *Biblioteczce*.

Kilka też zaledwie numerów wydała firma M. Arcta w *Wyborze najcenniejszych utworów pisarzy polskich i obcych*, wśród 400 bezmała tomików „Książek dla wszystkich” (jak na nasze stosunki, liczba bardzo poważna!). Znaleźli się tu: Krasiński, Fredro, Goszczyński, Zabłocki, Niemcewicz, w podobnym, jak w *Biblioteczce polskiej*, opracowaniu.

Najpokaźniej jednak ze wszystkich wydawnictw warszawskich przedstawia się podjęty przez firmę Gebethnera i Wolffa *Wybór pisarzy polskich dla domu i szkoły*. W ciągu roku niespełna osiągnął już cyfry 15 numerów, obok Kochanowskiego i Skargi komentuje Niemcewicza i Felińskiego, podaje utwory Brodzińskiego, Mickiewicza, Malczewskiego, Słowackiego, Krasińskiego, Pola. Od „Arcydzieł” Westa „Wybór” różni się pod pewnym względem: wstępy u Westa stoją na bardzo różnym poziomie, niekiedy na poziomie uniwersyteckim, tutaj zaś — odpowiadają one jednostajnie potrzebom szkolnym, te potrzeby mają przedewszystkiem na widoku; komentarze zaś w „Wyborze” zawierają nie tylko uwagi rzeczowe i językowe, lecz i, co jest nowością bardzo pożyteczną, estetyczne.

W taki to sposób „Wybór” ma szerzyć zamiłowanie i „dbałość o poznanie dziejów i literatury ojczystej”, ma pielęgnować kulturę narodową, której ostatnim pokoleniom naszym, niestety! brak tak bardzo. Zadanie to szczerze i praca niezmiernie pożyteczna.

Ale nie dość na tem. Kultura narodowa wtedy tylko rozwijać się może i kształcić, jeżeli czerpie soki ożywcze z obcych kultur, jak to było u nas w XVI i XVIII w. „Biblioteczki” więc i „wybory” *polskich* pisarzy należy uzupełnić *obcymi* pisarzami. Zrozumiano to oddawna zagranicą. Oto mamy przed sobą niezmiernie rozpowszechnione lipskie wydawnictwo *Graesers Schulausgaben klassischer Werke*, które posłużyło niezawodnie za wzór naszym wydawnictwom szkolnym; tam obok Goethego, Schillera, Klopstocka, Lessinga, Uhlanda znajdziemy Molière’a, Szekspira i inne.

W innym znowu wydaniu szkolnem niemieckiem, p. n. *Schöninghs Textausgaben alter und neuer Schriftsteller*, znajdujemy Homera, Horacego, Szekspira, Sofoklesa i innych. Wpada nam w rękę kilka tomików dwóch, niedawno podjętych przez firmę Louis-Michaud

wydawnictw francuskich: *Bibliothèque des poètes français et étrangers* i *Les prosateurs illustres, français et étrangers*; tam znajdziemy, w sąsiedztwie pisarzy francuskich, Byrona, Heinego, Walter-Scotta, Leopardiego, Andersena i innych, a w każdym tomie, po wyczerpującym wstępie (charakterystyka człowieka i pisarza), widzimy liczne wyjątki i streszczenia, zaznajamiające wszechstronnie z danym autorem.

U nas — jakże do tego daleko! West podał wprawdzie niektóre utwory z literatury obcych: Sofoklesa, Szekspira, Byrona, Schillera, Molière’a i innych. Ale to nie wystarczy. Musimy mieć obszerną „Bibliotekę pisarzy obcych”, w licznych tomach, składających się na całość obrazu umysłowości ludzkiej przez wszystkie wieki i kraje. Inaczej — nie odetchniemy szeroko, inaczej — nie będziemy mogli powiedzieć o sobie, jak ów Farys mickiewiczowski:

Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę...
HENRYK GALLE.



ALEXANDER KRAUSHAR.

TYPY I ORYGINAŁY WARSZAWSKIE

z odleglejszej i mniej odległej przeszłości

Z rzadkich rycin, litografii i sztychów.

FAMULUS, ROZNOŚCĄCY GAZETY PRZED R. 1830.

Typ ów, z nieznacznymi zmianami, wiernym pozostał pierwowzorowi i za naszych czasów. Zmieniła się jedynie siermięga z kołnierzem wysokim, przypominającym epokę kontuszową. Figura, odtworzona kredką nieznanego rysownika z przed roku 1830, mogłaby śmiało i dziś wykrzykiwać nie dokończony wyraz: *Kuryer Warsza... Telegram wojeee...* Lecz tytuły pism, jakie trzyma w garści i w torbie, już nieodwołalnie do przeszłości należą. *Momus!... Wanda!... Astrea!...* Każ-



de z tych pism przypomina zakończony okres walki klasyków z romantykami, jest niejako symbolem chwili. *Astrea*, co to pamiętnik Paska nożycami i wapnem ostrzygła i ubieliła, aby zbyt nie raził „dobrego gustu” Arystarchów ówczesnych, *Momus*, który śmiał się szczerze i innych do szczerzego śmiechu pobudzał, *Wanda*, mizdrząca się do romantyków... Dzięki bogatemu zbiorowi księcia Czetwertyńskiego budzą się na widok owej charakterystycznej postaci rzewne wspomnienia przeszłości, do historii kultury swojskiej słusznie zaliczać się mogącej.



UCZESTNICY POLSCY ZJAZDU WSZECHSŁOWIAŃSKIEGO W PRADZE CZESKIEJ.

Po zjeździe w Pradze Czeskiej.

Pierwsza próba ogniowa przebyta! Zjazd w Pradze Czeskiej obszedł się nietylko bez przewidywanych dysonansów, ale wytworzył atmosferę serdeczności słowiańskiej, gotowej do ustępstw wzajemnych.

Obecni na zjeździe Słowianie, zdając sobie wybornie sprawę z zagrażającego wszystkim niebezpieczeństwa niemieckiego, zrozumieli doskonale sytuację i postanowili wzajemnie wyciągnąć do siebie dłoń.

Ale główna przeszkoda w zrealizowaniu pragnień wszechsłowiańskiego porozumienia nie została dotąd usunięta. Nie będzie można mówić o sojuszu już urzeczywistnionym, dopóki stosunki polsko-rosyjskie trwać będą nadal w obecnym stadium anormalności politycznej. Usunąć więc dotychczasowe przeszkody było głównym celem konferencji słowiańskiej w Pradze.

Czesi, ile sił starczyło, starali się wywiązać godnie z roli pośredników. I na tem polu zdziałali niemało.

Pod wpływem wytworzonego przez Czechów nastroju, nawet obecni na zjeździe reakcyoniści rosyjscy nie wyjawiali więcej swych zamiarów zaborczych.

Ale czy wskutek olbrzymiej odległości Pragi od Petersburga, wskutek potężnych różnic w temperaturze, delegaci ci nie stracą nic po drodze z tego „ciepła słowiańskiego“, wywożonego obec-

nie z nad Wełtawy? Czy chłód z Północy nie zmrozi uczuć słowiańskich Rosyan petersburskich?

Qui vivra verra! W Pradze tylko *mówiono*. W Petersburgu zaś wypadnie już nie mówić, tylko *działać!* Makłakow powiedział wprawdzie, że są słowa, które obowiązują, a hr. Bobrinskij, w uznaniu słuszności tego zdania, wymógł publicznie słowo od obecnych Rosyan, że w myśl uchwał praskich zgodnie wykonać będą wolę Słowian.

Ale jakie rezultaty stąd oglądać będziemy w przyszłości, to pokaże już jesienią sesja Dumy Państwowej.

W polityce niewolno marzyć. Zapatrujemy się też na sytuację zupełnie realnie. Ale oceniając zjazd pod kątem widzenia chwili obecnej, nie można go nazwać inaczej, jak ze wszech miar udatnym.

Pod takim wrażeniem opuszczali stolicę czeską delegaci polscy, nawet ci, którzy najsceptyczniej dotąd zapatrywali się na samą myśl porozumienia słowiańskiego.

Oby tylko i rezultaty uchwał były równie pomyslnie!
G.



OGÓLNY WIDOK PRAGI CZESKIEJ.

Obchody strzeleckie w Krakowie.

Okryte tradycjami wieków stare obchody, mające w Polsce całe karty w historii, coraz bardziej wkraczają w sferę wspomnień dziejowych. W Królestwie Polskim uroczystości kurkowych, jak wiadomo, nie mamy zgoła żadnych, w kraju naszym wolno bowiem istnieć towarzystwom strzeleckim, ale wyłącznie niemieckim.

Na wolnej więc ziemi polskiej, pod zaborem austriackim, w Krakowie i Lwowie, zachowały się jednak odwieczne bractwa strzeleckie.

Warto przypomnieć, że tego rodzaju bractwa istniały w Polsce już od XIII wieku. Zakładano je we wszystkich większych miastach obronnych, a więc nade wszystko w Krakowie, Lwowie, Warszawie, Toruniu, Poznaniu, Kaliszu... Królowie polscy szczególniejszą pieczę i troską otaczali te stowarzyszenia. Król Zygmunt III króla kurkowego uwalniał nawet od wszelkich opłat, ceł i podatków.

Istniejące po dziś dzień towarzystwa strzeleckie w Galicyi starają się zachować dawną świetność obchodów kurkowych, nie zapominając o żadnej z dawnych ceremonii. Posiadają one zresztą starożytne godła kurkowe, przez królów polskich ofiarowane, liczne księgi, zbrojownie i archiwa.

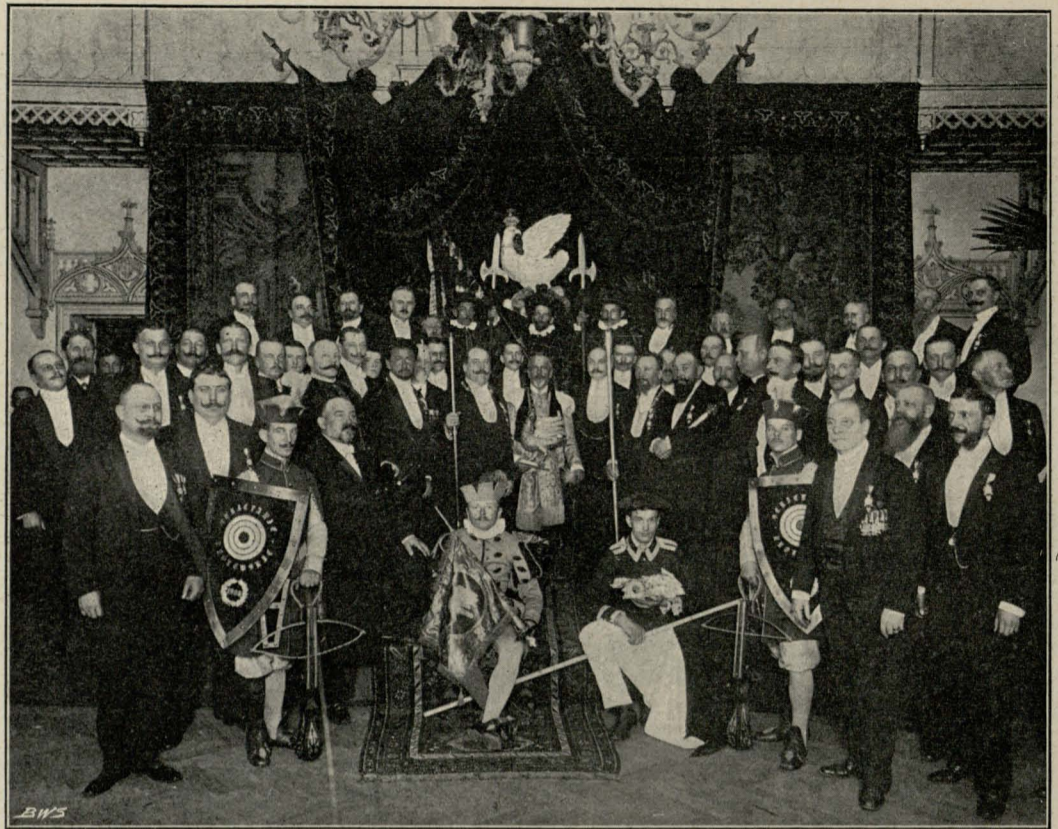
Pod koniec czerwca krakowskie Towarzystwo strzeleckie odbywało w tym roku uroczystości strzeleckie przez cały tydzień.

Ostatni szczytek kura celnym strzałem strącił w dniu 5 lipca p. Józef Kulesza, znany majster kamiński, obwołany wśród tradycyjnego ceremoniału królem kurkowym. Bezpośrednio przed nim najcelniejsze strzały padły z rąk adw. Br. Gunkiewicza i Karola Czaplickiego, złotnika, którzy, w myśl statutu Towarzystwa strzeleckiego zostali mianowani marszałkami królewskimi.

Zgodnie z ustawą Towarzystwa dostojnik kurkowy przy obwołaniu królem otrzymuje odznakę królewską: „złotego kura”, poczem kosztem Towarzystwa zostaje wydana „Uczta królewska”, zostaje zrobiony portret króla i zawieszony w sali strzeleckiej zaś następnie przy abdykacji otrzymuje król pierścień złoty z wizerunkiem kura. Oprócz tego ma król pierwszeństwo przy każdym strzelaniu i przez cały czas swego panowania za strzały nie płaci. Król zaś na pamiątkę swego panowania ofiarowuje towarzystwu dar, według swej możności i uznania.

Łukasiński.

Niedawno ukazał się tom pierwszy zapowiadane oddawna dzieła prof. Szymona Askenazego o majorze Waleryanie Łukasińskim. Książka powyższa, skreślona barwnym piórem znakomitego badacza, na



Członkowie Tow. Strzeleckiego w Krakowie. Na froncie dwaj łucznicy z tarczami, na stopniach herold, obok niego „Cyler” ze szczątkami strąconego kura. Obok króla dwóch marszałków z laskami.

tle wewnętrznych dziejów Polski kongresowej, wyczerpująco omawia całokształt ówczesnych związków tajnych, których właściwym twórcą i kierownikiem był Łukasiński. Postać to tragiczna, w dziejach dotąd prawie nieznaną, a charakterem i czynem ofiarnym godną stanąć obok wielkich bohaterów naszej przeszłości. Bezprzykładowy los tego człowieka związany jest ściśle z całym splotem pierwszorzędnym spraw zakulisowych, stanowiących o bytowaniu Królestwa kongresowego. Praca prof. Askenazego rzuca jasny snop światła na te ukryte sprężyny polityczne; w pięknym i nacechowanym olbrzymią erudycją wykładzie autor „Księcia Józefa Poniatowskiego” snuje niezmiernie plastyczny i pouczający obraz stosunków polsko-rosyjskich w pierwszej ćwierci ubiegłego stulecia, przenikliwie docierając do istotnych pobudek kierowniczych ówczesnych działaczy.

Książka o Łukasińskim jest rezultatem nie tylko poważnej i zmuśnej pracy naukowej, lecz zarazem dziełem wielkiego talentu pisarskiego.

Polska kolonia w Moskwie.

Na korzyść Domu polskiego w Moskwie wydana była niedawno zbiorowem siłami ciekawa jednodniówka, z której dowiadujemy się wielu szczegółów o życiu naszych braci w oddalonej od kraju kolonii.

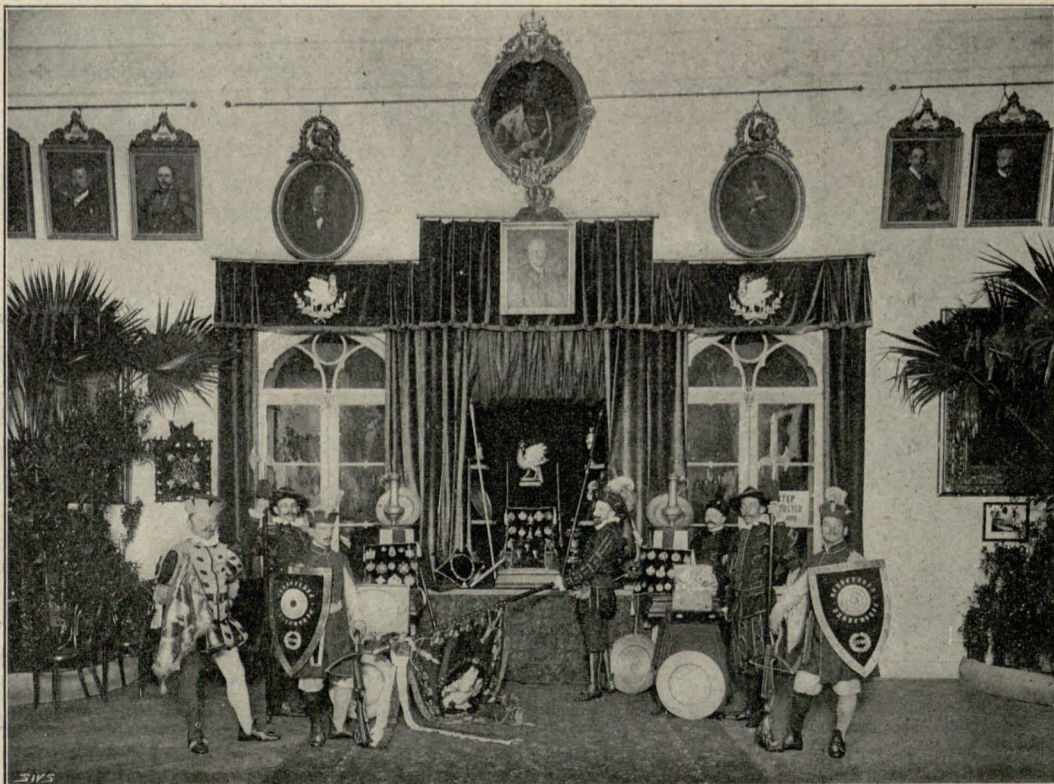
Żywił polski w Moskwie dochodzi do 14,000 osób, w czem jest do 3,000 żołnierzy. Inteligencji polskiej naogół mało. Przeważnie składa się ona z jednostek, zajętych w przemyśle i handlu. Lwią część kolonii polskiej stanowią robotnicy polscy, pracujący przeważnie na kolejach i w przemyśle metalurgicznym, a także i kobiety, zajmujące się krawiectwem i pełnieniem obowiązków służby domowej.

Kolonia polska jest najmłodszą co do swego powstania wśród liczniejszych kolonii, zorganizowanych w głębi cesarstwa. Pierwsze hasło w tym względzie dało założenie Katolickiego Tow. Dobroczynności, składającego się początkowo z 300

przeważnie zamieszkałych osób, które postarały się wkrótce o otwarcie przy Towarzystwie dostępnej dla wszystkich biblioteki polskiej.

W roku 1905 znany filantrop, generał Alfons Szaniawski, oświadczył prezesowi Towarzystwa, p. Aleksandrowi Lednickiemu, o gotowości złożenia ofiary na rzecz budowy gmachu biblioteki. Umierając, zapisał w testamentie 30,000 rub. na ukończenie budowy gmachu oraz na jej utrzymanie, i w ten sposób powstał w Moskwie Dom polski, który gromadzi obecnie w swoich murach i ubogich i zamożnych.

Praca nad oświatą ludu jest główną wytyczną kierowników Domu polskiego. W tym celu w ciągu sześciu miesięcy urządzano systematyczne wykłady z historii polskiej, dziejów literatury i języka polskiego oraz szeregu pułarnych odczytów naukowych. K.



Skarbiec Tow. Strzeleckiego w Krakowie.



Józef Kulesza, król kurkowy.



BOSFOR

Rewolucya w Turcji.

W tajemniczej ciszy przygotowywał się oddawna w Turcji wybuch, który, jak się pokazuje z coraz bardziej charakterystycznych depesz, przybiera rozmiary rewolucyjny.

Ruch zmierza do przetworzenia Turcji na państwo konstytucyjne, a zapoczątkowany został przez stronnictwo młodo-tureckie. Stronnictwo to wzięło się widać do rzeczy po mistrzowsku, skoro ujawniło swe pragnienia wtedy dopiero, kiedy zdołało sobie pozyskać znaczną część wojska, tej podstawy tureckiego despotyzmu. Rozpoczęto od zamachu na jednego z generałów, poczem nastąpiły ucieczki oficerów, wśród których było wielu sztabowców.

Odpowiedzią rządu tureckiego stały się areszty zbuntowanych oficerów, jednakże pozostali oficerowie upomnieli się o aresztowanych, grożąc nowymi zamachami, tak, że wypuszczono ich na wolność.

Zbuntowane wojska gromadzą się, jak się zdaje, w Adrianopolu, gdzie podobno 100 oficerów zajęło zbrojnie urząd telegraficzny. Stamtąd posłali sułtanowi cały szereg żądań politycznych, ogłaszając, że są wyrazicielami całego korpusu.

To już byłby fakt poważny, wobec którego władze tureckie zdają się być zupełnie bezbronnymi. Niepodobna stwierdzić, o ile wiadomości te zgadzają się z prawdą. Z jednej strony bowiem rząd sułtański stara się zatuszowywać te wypadki, lub przynajmniej odebrać im ich rewolucyjne, stanowcze znaczenie, z drugiej znów komitet młodo-turecki, być może, iż przesadza doniosłość zaszłych wypadków, pragnąc przekonać świat o swojej sile.

Z pewnością jednak twierdzić już można, że z poza cenzurowanych depesz z państwa otomańskiego przeziernąć nie dajemy się zaprzeczyć fakt silnego wrzenia w armii. Wrzenie to, wobec dającej się niemniej dobitnie zauważyć bezsilności władz dotychczasowych, może tylko wzrastać, nie słabnąć—a czem się zakończy—trudno przesądzać. Jeżeli armia młodo-turecka nie otrzyma żądanych reform, dojść może wtedy do otwartej wojny domowej, do radykalnej zmiany stosunków w państwie dotychczas absolutystycznym.

A jakie stanowisko wobec Turcji zajmie wtedy Europa? Jakie będą dążenia konstytucyjnego państwa na Bałkanach w polityce zagranicznej? Jaki będzie jego stosunek do najbliższych sąsiadów: Grecji, Serbii, Bułgarii, Rosji, etc.?

Oto pytania, które tworzą nad Bałkanami nową, groźną chmurę. Stamtąd wypaść mogą pioruny, zdolne zapalić wojnę europejską.

I jeszcze jedno: co pocnie rewolucyjna Turcja z walącym się monarchizmem w Persyi?

Stanie chyba po stronie medżylistu — a wtedy stanie się to hasłem do obudzenia z wiekowej martwożyty ludów Wschodu—a wtedy Europa ujrzy przed sobą nową potęgę: uświadomionych i wolnych wyznawców

proroka, skupionych w celach... może zemsty, może odrodzenia ludów?

Rewolucya w Turcji miałaby więc znaczenie olbrzymie. Bieg wypadków na bliskim Wschodzie zwyciężyć może zabiegi najwytrawniejszych dyplomatów europejskich, dbających o „status quo“ w imię zbrojnego pokoju, w imię handlowo-przemysłowych interesów militaryzmu świętszego dla nich od wszelkich innych spraw świata..



IMBRAMIN-BASZA, mianowany do tłumienia buntu tureckiego, na miejsce świeżo zamordowanego Semsi-baszy.

Ziemia polska się kurczy.

Rząd pruski nie wyzyskał jeszcze uchwał sejmowych i nie wywłaszczył ani jednego hektara ziemi polskiej, kiedy prasa nasza przynosi hiobowe wieści o gromadnem, *dobrowolnem*, wyzbywaniu się ziemi ojczystej zarówno na Litwie, jak w Królestwie Polskiem, gdzie zagon polski coraz częściej w obce przechodzi ręce!

Redaktor Czesław Jankowski, niedawno powróciwszy z witołdowej ziemi, dzieli się z czytelnikami *Słowa* przerażającymi informacjami.

„Dziś—pisze—sprzedano już lub podano na sprzedaż taką mnogość ziemi polskiej na Litwie i Białejrusi, że żaden najbardziej drakoński zakaz lub ukaz nie byłby chyba w stanie spowodować takiej masowej dewastacji polskiego stanu posiadania agrarnego. Rzecz wolno bez przesady, że obecnie trzy czwarte ziemian, rodaków naszych, chętnie pozbyłoby się natychmiast ziemskiej własności swojej, jeśliby się na nią znalazł—nabywca, jakie takie przyzwoite ofiarowując warunki. Ów szuka lub znalazł nabywcę Polaka na całość obszerniejszej nieco majątności; inny „puścił“ majątek na subhastę bankową, nie opłaciwszy z lekkim już sercem całej sery ratówek; jeszcze inny sprze-

dał majątek, rozparcelowawszy go, włościanom; są, którzy dokonali transakcyi z Rosyanami; spora liczba dziedziców kołata do łaski Banku włościańskiego, usilnie czyniąc zabiegi o zakwalifikowanie majątku do nabycia a następnie do... rozkolonizowania, stosownie do instrukcyi danych Bankowi włościańskiemu, a niepozabawionych, jak wiadomo, politycznego zabarwienia“.

Więc wystarczyło grudniowych ukazów, znośzących zakaz nabywania przez Polaków ziemi na Litwie (ale tylko od Polaków), aby Polacy gremialnie wyzbywali się ziemi, nie oglądając się zgoła na osobę kupującego! Więc my, nie wywłaszczani, dobrowolnie usuwamy się z Litwy, nie poczuwając się więcej do historycznej misyi naszej kulturalnej!

Ale czyż lepiej dzieć się ma u nas w Królestwie Polskiem?!

W ciągu ostatnich paru tygodni cztery majątki ziemskie w połowie lub w całości, przeszły w ręce niemieckie, mimo energicznej akcji antyniemieckiej prasy polskiej, mimo odwoływania się do uczuć obywatelskich rodaków naszych!

W powiecie plockim nabyli koloniści niemieccy dwa folwarki blisko siebie położone: Włoczewo od p. Chmielewskiego i Bronowo Lachy od p. Kalinowskiego.

W pow. rypińskim p. L. Waliński sprzedał w połowie Niemcom dobra Mościska, sięgające 214 morgów przestrzeni.

W pow. niezawskim właściciele rozległych dóbr, tuż nad granicą pruską położonych, nie zawahali się w połowie oddać ziemię polską w ręce osadników niemieckich!

Smutne wieści! O polskiem brzmieniu nazwiska nie obawiają się plamić swych imion mianem sprzedawczyków ojczystego zagonu!

Nazwiska te przejdą w pamięć do najpóźniejszych nawet pokoleń. A niesława nie odstręcza jednak naszych obywateli od kupczenia dobrem krajowem!

Niech się dzieje co chce, traćmy podstawy bytu narodowego, byle dalej handel szedł. Sprzedajemy, kto da więcej!

Ale oto ten upadek moralny na szczęście nielicznej jeszcze kategorii ziemian polskich znajduje już ocenę należytą wśród włościan naszych.

W *Mazurze* plockim, tygodniku wydawanym przez księżę (Nr. 27), „Chłop polski z parafii Gozdowskiej“ takie słuszne wypowiada uwagi z powodu handlowania ziemią ojczystą.

„W naszej okolicy—pisze „Chłop“—rozeszła się smutna wieść, że folwarki polskie przechodzą na własność kolonistów niemieckich. Pytam się was, panowie, ja, chłop polski, czy to po obywatelsku? czy to po polsku?”

„Gdzie się podział wasz patriotyzm, z którym tak głośno oświadczyliście się i w nas chcieliście go przelać? Darujcie, ale powiem wam, że w mej chłopskiej piersi jest więcej miłości ojczystego zagonu!... Dodać muszę, że my łakniemy ziemi i nasze chłopskie ręce zdolne są uprawić całą polską ziemię, boć szukamy pracy na obczyźnie. To, co piszę, podzielają wszyscy moi sąsiedzi; przeto proszę umieścić w swem piśmie tę boleść serc naszych, jaką przelewamy na papier“.

Do prostych tych słów, a tak szczerych, głębokich i słusznych, cóż dodać możemy? Niechże więc głos ten za pośrednictwem pisma naszego szeroko rozlegnie się po Polsce idosięgnie tych wszystkich, którzy wahają się jeszcze, czy wolno im handlować zagonem ojczystym!

Słyszycie? już lud sarka! ST. GR.

Polak autorem greckim.

Już w wieku XVI literatura polska szczyła się swoim chrześcijańskim Horacym, jakim był Maciej Sarnowski, który tak przejął się duchem i formą klasyczną sławnego satyryka Rzymu, że z trudem rozróżniano naśladownictwo od oryginału. Dziś znowu mamy do czynienia z podobnym ciekawym zjawiskiem.

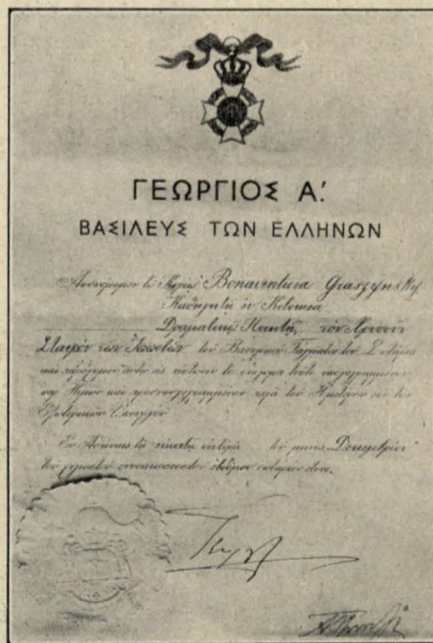
Rodak nasz, prof. Bonawentura Graczyński, tak o władną formą i duchem mowy starogreckiej, że swobodnie tworzy w języku starożytnych Hellenów kunsztowne dramaty, wzorując je na arcydziełach wielkich tragiców greckich. Oryginalnymi swymi zdolnościami zwrócił na siebie uwagę świata literackiego, a nawet przed kilku miesiącami otrzymał od króla greckiego wielkie odznaczenie za napisanie kilku już utworów dramatycznych po grecku. Dokument wraz z krzyżem oficerskim Zbawiciela nadszedł właśnie przed kilku dniami.



Bonawentura Graczyński.

Prof. Bonawentura Czesław Graczyński urodził się dnia 10 lipca 1859 r. w Murowanej Goślinie pod Poznaniem. Nauki gimnazyjalne odbywał w Lesznie, na uniwersytecie uczył się w Gryfii na Pomorzu. Od roku 1887 był jakiś czas kandydatem przy gimnazjum Józefa w Hilderheimie w Hanowerze, a następnie nauczycielem na wsi w Kobylnikach pod Szamotułami, u pp. Twardowskich. Od roku 1903 przeniósł się do Galicji, gdzie był nauczycielem w zakładach szkolnych w Stryju i Kołomyi, a obecnie został przeniesiony do gimnazjum we Lwowie.

Pierwszą pracą, jaka wyszła z pod pióra przyszłego autora dramatów greckich, był poemat, napisany po polsku, p. t. „Wanda” (Poznań 1885), następnie zaś



Dyplom B. Graczyńskiego.

ukazały się już utwory greckie: „Agia Sofia” (1897 Teubner), „Anastasia” (1906 Eos—Lwów) i „Hestias” (1899 Teubner). Prof. Bonawentura Graczyński w życiu prywatnym jest człowiekiem nadzwyczaj prawego charakteru i wielkich zalet serca i umysłu. Otacza go też sympatya kolegów zawodowych, jako też i wychowawców zakładów, w których pełni obowiązki nauczyciela.

KW.

Wycieczka turystyczna młodzieży.

Cudze chwalcie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie—tak głosił już swego czasu jeden z drogich sercu polskiemu piewców—Wincenty Pol. Nie do wszystkich jednak te słowa proste i gorące zastoso-

wać można, gdyż są i wycieczki, na które coraz częściej składa się polska młodzież szkolna wraz ze swoimi kierownikami i wychowawcami.

To też z wielką przyjemnością notujemy odbywającą się obecnie wycieczkę uczniów szkoły p. Wróblewskiego na Podole. Zorganizowało ją Warszawskie Tow. Krajoznawcze, które coraz pomyślniej się rozwija i coraz owocniej pracuje dla społeczeństwa i młodzieży, szercząc ukończenie dla kraju, jego piękna i zabytków minionej przyszłości. Uczniowie odbywają podróż przeważnie pieszo, zatrzymując się w miejscowościach, bardzo obfitujących w pamiątki historyczne lub malownicze widoki natury. Młodzież zwiędziła dotąd Bar, wielkie kopalnie fosforytów w Żurówce, Dunajówce, Maków, Kamieniec, Żwaniec, pamiątki Chocim, poczem udała się uroczeni brzegami Dniestru ku Kitajrodowi, Studenicy, Bakocie i Mohylowu.

Podczas przemarszów z jednej miejscowości do drugiej nie próżnowano. Uczniowie, pod kierunkiem znanych ogółowi polskiemu przyrodników i przyjaciół młodzieży, pp. Kulwiecia i Rudzkiego, badali okazy miejscowej fauny i flory, zbierali kolekcje minerałów podolskich i zdejmowali za pomocą aparatów fotograficznych piękniejsze widoki malowniczego bardzo Podola.

Najwięcej zainteresowania wśród młodzieży wzbudziły pamiątki kamienieckie, jak również piękny zamek i twierdza chocimska. Dodać należy, iż wszędzie przyjmowano młodych gości bardzo serdecznie i z radością, co w połączeniu z miłymi wrażeniami i wspomnieniami z pięknych kresów dawnej R-tej powinno zachęcić na przyszłość młodzież polską z korony do zwiedzania i zapoznawania się z odległymi prowincjami ojczyznego kraju.

R. K.

Domniemany prezydent Stanów Zjednoczonych.

Tegoroczne wybory na prezydenta Stanów Zjednoczonych (odbędą się w listopadzie) zadecydują, czy dalszy rozwój wolnej Ameryki Północnej pójdzie drogą wielkich, zdobywczych mocarstw, czy też pancerniki amerykańskie przestaną mieć dla innych ludów i państw *zaczepne* znaczenie.

Dwóch kandydatów terażniejszych reprezentuje dwa główne kierunki politycznej myśli w państwie trustów: Taft i Bryand.

Taft jest kandydatem Roosevelta, a więc rządu jego byłoby dalszym ciągiem polityki imperyalistycznej, śmiałej i gwałtownej, polityki człowieka, który „myśli pięścią” i którego zbrojna postawa zdołała wyrobić Ameryce opinię potęgi militarnej.

Bryand był podczas poprzednich wyborów kontrkandydatem Roosevelta. Uważa on za zgubne dla swojej ojczyzny wszelkie tęsknoty mocarstwowe. Jest zdania, że militarizm jest czynnikiem hamującym swobodny rozwój ekonomiczny, jest przytem prostą drogą do absolutyzmu, do wytworzenia tak charakterystycznego w państwach europejskich sojuszu kapitalizmu z przemocą wojskową. Wprawdzie Roosevelt z wielką energią walczy z trustami, zaznaczając w ten sposób swoje sympatye demokratyczne, ale czyni to nietylko dla czysto humanitarnych względów. Trusty stanowią olbrzymią potęgę, jakby państwo w państwie, przeszkadzają więc w prawidłowym sprawowaniu rządów. Niszcząc je, Roosevelt tem samem ułatwia sobie rządy, tak blizkie absolutnym, że w gazecie *Constitution* pojawił się rysunek humorystyczny, przedstawiający cesarza Wilhelma, który przez ocean podaje Rooseveltowi wieniec ozdobyony szarfą z napisem: „Największy autokrata”.



Szkoła Wróblewskiego na wycieczce w zamku w Kamieńcu podolskim.

Z dwu powyższych kandydatów Taft ma jednak w tym dziwnym kraju, pełnym sprzeczności, znacznie większe szanse, które wyraziły się już w burzliwych oznakach uwielbienia dla kandydata, postawionego przez Roosevelta. Amerykanów opanował głód wielkości mocarstwowej. Sława łatwego podboju Filipin spać im nie daje. Widzą się już panami obydwu oceanów i z nienawiścią spoglądają na rosnącą potęgę Japonii.

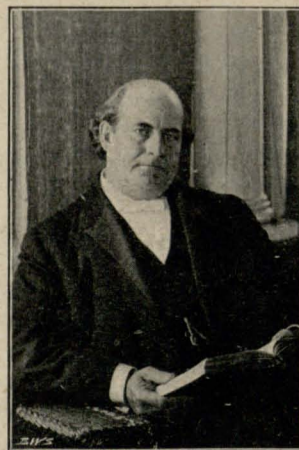
Willam H. Taft jest obecnie ministrem wojny. Już jako młody człowiek został sędzią najwyższym stanu Ohio. Obrany następnie obrońcą generalnym sądu Federacyjnego, w r. 1892 (mając zaledwie 35 lat życia) wznosił się na stanowisko sędziego okręgowego Stanów Zjednoczonych. Mianowany potem przez MacKinleya prezesem komisji organizacyjnej na Filipinach, wykazał tam tyle energii i... bezwzględności przy jednoczesnej (podobno) dbałości o dobro nowych poddanych, że Roosevelt zwrócił nań specjalną uwagę, pozostawał z nim w bezustannych stosunkach, aż wreszcie przygotował jego kandydaturę na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Już to samo, że prezydentem będzie teraz dotychczasowy minister wojny, daje dużo do myślenia. M.

Z antologii słowackiej *).

Hej Słowianie, hej Słowianie! Wolność znów odżyje,
Jeśli tylko serce wasze dla ludu zabije.
Nic to wasze łyzy sieroce, nic wasze okowy,
Duch słowiański wiecznie młody i na bój gotowy!
Dał nam Bóg swą mowę własną, i niech pojmy wrogi,
Że nie wydrą tego skarbu, bo święty i drogi,
A choć wszystkie moce piekiel przeciwko nam sprzęgą,
Bóg wszechmocny nas obroni dłoni swej potęgą.
Niechaj więc szaleje burza i huczy grzmotami,
Choć upadną z trzaskiem dęby, ziemia drgnie pod nami,
Sami grozę odeprzemy, jak forteczne mury,
Lecz przekleństwo, biada wówczas, jeśli zdradzi który!
REMIGJUSZ KWIATKOWSKI.

*) Jeden z najpopularniejszych wierszy słowackich, napisany przez poetę Tomasza (1813—1887; forma wiersza i rytm, żywo przypominające tempo mazura, zostały zapożyczone z polskich pieśni ludowych.



I. BRYAND
Kandydaci na prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.



WILLAM H. TAFT.



„KONGRES W SEWILLI”. AKT I, SCENA OSTATNIA.

Fot. Ł. Dobrzański.

WIECZORY TEATRALNE.

Potomstwo Offenbacha. — Panna Van-Loo w *Nowościach*. — Nowa czystej krwi francuska, trzyaktowa operetka z paryskiego Teatru „Variétés” — „Kongres w Sewilli” („Monsieur de la Palisse”) z muzyką Terasse'a do libretta de Flersa i Caillaveta. — Ogródkowe antrakty Teatru Nowości.

Po olimpijskiej, rozpasanej bufonadzie „Orfeusza w piekle”, nabierającej coraz zacniejszego bukietu klasycyzmu pod już sędziwą datą roku 1858-go, gdy zaświergotał nam tu w *Nowościach* roztrzęsiony „Boccaccio” z fertyczną i śpiewną *divette'q*, uroczą p. Van-Loo, gdy podano nam następnie suto opieprzoną lekką piankę „Nitouche” y, z tąż p. Van-Loo, kupletującą i dyalogującą. . najczystszy paryskim akcentem — wielu się здаwało, że Offenbach gra jeszcze.

A to — rozumie się — tylko echo grało.

Bowiem czemu jest owa chmara operetek podrygują c y c h, dowcipkujących i piosenkujących c y c h dziś na całym obszarze cywilizowanego świata, jeżeli nie rozpryśnięciem się przynajmniej w a i t-szych wariantów nieśmier t e l n e j puścizny wielkiego protoplasty t. zw. „operetki”! Rozstylizowana n o ją tylko. Walczkowa melodyjność stała się znamienną, niejako rodową, cechą wyro b ó w operet k o w y c h n i e m i e c k i c h; zręczność i kunsz-

towność faktury znamionują pochodzenie francuskie; udało się nawet wyodrębnić parę operetek specyficznymi właściwościami *humour'u* angielskiego.



„Kongres w Sewilli”. Anna Gaszewska. Taniec wschodni.

Ale to wszystko rozgałęzienie jednego pnia. Krew muzy Offenbacha krąży po każdej operetce, noszącej legalnie nazwę rodową. Są tylko, jak oczywiście w każdej rodzinie, latorośle anemiczne, a nawet ułomne — ale czego też wydarzyć się nie może w najlepszej rodzinie, a osobliwie tak rozrodzonej!

Oto, dla przykładu, młoda jeszcze względnie, bo cztery dopiero wiosny licząca, latorośl operetkowa, zaprezentowana nam w bieżącym tygodniu na scenie Teatru Nowości. Widać od razu, że stała się dyalogiem i melodyą gdzieś na którymś z bulwarów paryskich. Mówi akurat takim stylowym dowcipkowaniem, jak w komediach swoich pp. de Flers i de Caillavet. Manierę ma eleganckie i miękkie; nie tylko nosi się *à la française* z epoki Ludwików, ale ma w sobie żyłkę starofrancuskiej *gauloiserie* i nie może powstrzymać się od dworowania z Hiszpanów, tych tradycyjnych kozłów ofiarnych dowcipu francuskiego. „I, niefrasobliwa sama, zabawiająca bliźniego bez żadnego uprzejmego przymusu, gdyż temperament ma po temu wrodzony, śpiewa sobie: tra-la-la! tra-la-la!... Ach, mój Boże! Tyle się najrozmaitszej, a nawet dobrej muzyki słyszy przez rok okrągły w Paryżu, że byle pamięć dopisała, a coś się

tam przetransponowało, a coś dokleiło lub poodklejało... i zresztą, czyliż nie we wszystkim na świecie: im więcej zmian, tem rzecz bardziej ta sama?

Mógłby ten popularny aforyzm do „prawd” swych dołączyć *monsieur de la Palisse*, którego duch unosi się nad całą operetką, zatytułowaną w polskim przekładzie „Kongres w Sewilli”.

Baron de la Palisse, który najautentyczniej żył niegdyś na świecie *) , stał się (niebardzo wiedzieć cze-

*) Jakób de Chabannes, seigneur de la Palisse, słynny z waleczności wódz francuski, mianowany marszałkiem przez Franciszka I-go, zginął śmiercią bohaterską na polu bitwy pod Pawią. Stąd początek staroświeckiej ludowej piosenki francuskiej:

Monsieur d'La Palisse est mort,
Mort devant Pavie;
Un quart d'heure avant sa mort,
Il était encore en vie.

Miało oczywiście znaczyć: walczył do ostatniego tchnienia. Nawiwny zwrot ten atoli dał asumpt w wieku XVIII do zwalania na karb dzielnego rycerzastku „prawd”, które jakoby zwykł był wygłaszać. La Monnoye ujął „prawdy pana de la Palisse” w całą seryę strof piosenki, która zdobyła szeroką popularność, trwającą do dziś dnia. Pp. de Flers i Caillavet żywcem z piosenki tej wzięli kuplety „Kongres w Sewilli”. Helena Bogorska, niektóre.



„Kongres w Sewilli”. Helena Bogorska, jako Doreta.



Orfeusz w piekle. Morozowicz jako John Styx, „domestic” Plutona.



Józef Śliwicki.

Nowi reżyserzy dramatu i komedyi.



Kazimierz Kamiński.

mu) tak przysłowiową figurą francuską, jak nasi polscy Filip z Konopi, Zabłocki, co „źle wyszedł na mydle”, lub Marek, „tłuczący się po piekle”. *Monsieur de la Palisse* wygłaszał prawdy tak... nie mogące uleść zakwestyonowaniu, że aż weszły w przysłowie. Przeszła o nim „w usta ludu” popularna do dziś dnia piosenka, wytrąsająca, jak z rękawa, wszystkie te niezbite prawdy.

Libreciści „Kongresu w Sewilli” dali życie na warsztacie swoim—pra-pra-prawnukowi nieocenionego pana de la Palisse. Placyd mu na imię. Młodzieniec to przykładny, aż miło. W dobrach swoich gospodarzy zapamiętała, a do niewiast... ani z blizką! I—rys rodzinny!—wygłasza prawdy tak niezbite, że sam by się praszczur Palissów ich nie powstydział. Aliści zbieg okoliczności—operetkowych każe mu jechać w charakterze królewskiego pełnomocnika na kongres arcy polityczno-dyplomatyczny, francusko-hiszpański do Sewilli. Ma być tam rozstrzygniętą kwestya, czy na wybrzeżach Marokka połów homarów ma być przywilejem (politycznym!) Francji czyli też Hiszpanii. Placyd de la Palisse nie tylko zdobywa dla Francji marokańskiego homara, lecz, wyleczony gruntownie ze swej fatalnej względem niewiast obojętności, zdobywa dla siebie—żonę w osobie cud-dzieweczki, siostrzenicy gubernatora sewilskiego, zakrawającego na skończoną zieloną małpę.

Cała zaś ta główna osnowa sowizdrzalskiej koncepcji pławi się w fiorturach i akcesoryach najróżniejszych szczegółów, włącznie aż do... tańca „wschodniego”, wykonywanego przez p. Gaszewską z wielką brawurą... przeważnie środkową częścią tułowia.

Zaś wieśniacy p. barona, pomimo że zaklinani przezeń, aby unikali jak ognia zamających spokój „igraszeć miłosnych”, śpiewają wnet po podniesieniu kurtyny nader wdzięczny chórek: „Całujmy się... ściszkajmy się!...” przy odpowiedniej, niestety, grze mimicznej, a on sam, baron Placyd, opowiada czysto francuską piosenką subtelną przygodę swoją z Fanszetką, kiedy to, przechadzając się po łące:

Motyłka schwycić chciałem ja...
Tra-la-la... Tra-la-la...

A tu tymczasem:

Nad rzeczką stała zapłakana
Fanszetka, że nie widzi dna...

Hm!... Niech sam p. Rapacki dośpiewa do końca, i to w *Nowościach*, nie zaś na szpaltach *Tygodnika*.

Natomiast, jeżeliby miejsca tu starczyło, znalazłby się poniżej tekst innej piosenki Placyda, o pra-pra-dziadku de la Palisse, o słynnym de la Palisse, co to, „gdyby ślubu nie był brał, to byłby się nie ożenił”, oraz, „gdy w Paryżu bywał on, to... w Warszawie go nie było”, aż wreszcie:

Le jour de son trépas
Fut le dernier de sa vie!

Jest i efekt z „prawdziwym” osiołkiem na scenie, na którym Placyd z dóbr swoich odjeżdża sprawować ambasadę kongresową; jest zgrabna piosenka wypuszczonej świeżo z klasztoru swawolnej Inezity; jest wdzięczny duet-bolero, śpiewany z chórem przez p.p. Jarkowską i Chaveau; jest rozpiecętowywanie przez p. gubernatora „poczty dyplomatycznej” (w kufrze rzą-

dowym przeróżna kontrabanda), jest wesoła (ach! jakże wesoła) towarzyska lo-welasa hr. Bertranda, nadobna Doreta, której cztery kochankowie skarżą się nie bez racyi, że „ach! częśc czwarta dyabła warta!”—no i jest Morozowicz!

Dodajmy muzykalność à toute *épreuve* p. Rapackiego (Placyd), urągające wszelkiej konkurencji wdzięki pań Bogorskiej (Doreta) i Jarkowskiej (Inezita), kapitalne trio p. Morozowicza (gubernator) z dwoma sekretarzami (pp. Popowski i Proniewicz), dekoracje świeże i efektowne, *mise-en-scène*, jak zawsze, pomyslową i błyskotliwą, parę sytuacji w drugim akcie rzetelnie komicznych, zakrój farsy, muzyczkę nie wysokiej marki, ale ot, wcale przyzwoicie skrapiającą tekst, jak przyzwoite chablis przyzwoite

śniadanie, a wypadnie zgodzić się z opinią premierowej publiczności, jak wiadomo, wybrednej, że świeżo podana nam operetka ma u nas—przyszłość przed sobą.

Tak przynajmniej „mówiono sobie” podczas premierowych antraktów, przechadzając się w kółko po deptaczkowym ogródku *Nowości*.

Parny był i duszny ów wieczór srodze upalnego dnia. Przybyło jednak na zaproszenie p. dyrektora Śliwickiego (on też i osobiście reżyserował sztukę) sporo, bardzo sporo osób: panie w lekkich, do kompletnej niemal ażurowości tualetach, panowie w fantastycznie pozabarwianych kamizelach. Raut ogólny stawał się po każdym akcie, ile że wśród tłumu okrążającego drobnymi kroczkami wspomniany wyżej ogródek, każdy każdego słyszał każde słowo. Ma to swój urok—dla słuchających.

Z sąsiedniego bufetu przez podwoje, otwarte szeroko na ogródek, załatywało nieustanne syczenie syfonów pochłanianych namiętnie. Noc pogodna ciemna a cicha, rozpięta wysoko nad „operetkującą” Warszawą, brała w siebie—odruchy doznawanych wrażeń, podnucania usłyszanych świeżo melodji, szmery rozmów i kłęby papierosowych dymów...

Tych zaś wszystkich, którzy owego wieczora byli w *Nowościach*, napróżno byłoby szukać gdzieś na innym miejscu—powiedziałyby nie w ciemni bity de la Palisse. I miałyby zupełną rację.

Kto wie nawet, czy tak wysoce trafne spostrzeżenia nie wypadałoby poczytywać za dorobek duchowy wieczornego wypoczynku, spędzonego tak mile na milutkiej, zgrabniutkiej, pieprziutkiej operetce nowej.

Boć tylko barw, dźwięków i słów to jest gra...
Tra-la-la-la... Tra-la-la-la! Tra-la-la-la!

CZESŁAW JANKOWSKI.

2000 ofiar wydartych rzece.

Było to w godzinach południowych. Wchodzę do maleńkiego domku, położonego na prawym brzegu Wisły o kilkaset kroków poniżej mostu, należącego do Warsz. Tow. Ratowania tonących.



PIOTR KOC, RATOWNIK.

Zastaję p. Piotra Koca, spożywającego w otoczeniu rodziny w schludnej kuchence skromny gospodarski obiad. Spokój i zadowolenie malują się na wszystkich twarzach, a przybrani członkowie rodziny pod postacią trzech kotów i pięciu psów otaczają kołem jedzących, czekając swojej kolei.

Gospodarz domu, czerstwy 48-letni człowiek, przerywa obiad i prosi mnie do kancelaryi, gdzie przy papierosie wdaję się z nim w przyjacielską pogawędkę.

Dnia 25 czerwca r. b. pan Piotr Koc obchodził 25-ciolecie wiernej i owocnej bardzo służby jako ratownik przy „Warsz. Tow. Ratowania tonących”. Przez ten czas w różnych porach dnia i nocy uratował, jak sobie przypomina, co najmniej ze 2,000 osób, ludzi tonących wypadkowo, a czasami i samobójców. Wielu z nich, pozornie zmarłych, po długich dopiero nieraz zabiegach udawało mu się przywrócić do życia. Oczywiście posłużyły mu do tego studia, odbyte w tutejszych szpitalach, a ostatnio pod kierunkiem d-ra Borzęckiego. Zdarzało się, że w nocy budził go krzyk ludzi przy moście lub pukanie gwałtowne do drzwi mieszkania posterunkowego policyanta. „Tu ktoś skoczył z mostu do wody”. Łapie tedy z pośpiechem cośkolwiek na siebie, chwyta za wiosło, stojące zawsze pod ręką, wskakuje do łodzi i pędzi z wodą za niejasnym punkciem, który coraz to rzadziej wynurza się z wody.

Służba to ciężka, odpowiedzialność wielka... ale za to jakie zadowolenie moralne, gdy się uda wydobyć na ląd ofiarę i przywrócić ją do życia.

Medal srebrny zaratowanie tonących, od czasu do czasu mała gratyfikacja, a poza tem, co najmiłsze... wdzięczność tylu setek uratowanych ludzi stawiają mu już za życia wdzięczny pomnik.

Życzymy jubilatowi na długie jeszcze lata sił i zdrowia w tej skromnej a tak pożytecznej i obfitej w plony pracy.

Ł.

Kongres przeciwko pojedyńkom.

W Peszcie świeżo zakończono wielki zjazd międzynarodowy, zwołany w celu podjęcia walki z pojedyńkiem. Obrady były nadzwyczaj ożywione i zakończyły się ogólną uchwałą, że dla zwalczania pojedyńków trzeba nadewszystko zreformować opinię publiczną, która powinna przestać uważać za tchórza człowieka, uchylającego się od zwierzęcej walki.

Jako środek do walki z pojedyńkiem najsilniejszy uznano prasę wszechświatową, dlatego do lig antypojedynkowych postanowiono wciągać nadewszystko publicystów.

Kongres uchwalił nadto oddziaływanie na ludzkość już od lat najmłodszych, i dlatego zwraca się do rodziców i przełożonych szkół, aby ci w dzieciach wyrabiali niechęć do krwiożerczych walk z bliźnim.

Jako jedyny racjonalny sposób załatwiania sporów uznano sądy polubowne, które, jako instytucja stała, istnieć winny przy wszystkich towarzystwach antypoedynkowych.

Warto przypomnieć, że w Warszawie ideę antypoedynkową szerzy Tow. „Pokój”, we Lwowie zaś istnieje specjalna liga, wzorowana na tego rodzaju instytucjach wszechświatowych.

S.



Koniec działu redakcyjnego.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

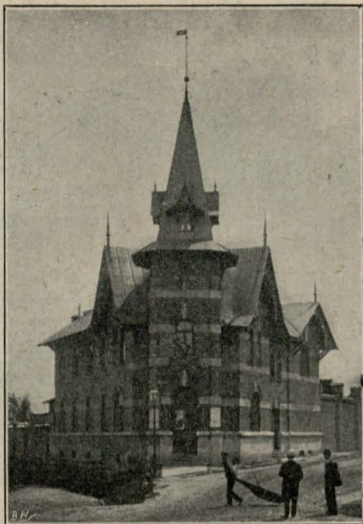
krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

Z PRZEMYSŁU I HANDLU.

FELIETON ILLUSTROWANY.

ZAKŁADY PUSZKARSKIE ROBERTA ZIEGLERA.



Strzelnica przy rogatce Mokotowskiej.

Dziwnem się to wydaje, że w kraju, w którym myślistwo od najdawniejszych czasów było bardzo rozpowszechnione, a i dziś kwitnie, przemysł puszkarSKI, a właściwie gałąź jego *dział broni*, względnie tak mało jest rozwinięty.

Powodem tego jest z jednej strony rozpowszechnione mniemanie, że broń tylko angielska, belgijska lub francuska może być dobrą, a z drugiej strony, wobec takiego, niestety, ogólnego mniemania, niemożliwa konkurencja zagranicznych wyrobów puszkarSKICH z naszymi, krajowymi.

Ze konkurencja z zagranicą w tej branży przemysłu naszego jest wprost niemożliwą, przekonała nas o tem najstarsza u nas firma puszkarSKA Roberta Zieglera, która w dobrze zrozumianym interesie własnym, jak również w poczuciu obywatelskiego obowiązku, pragnąc zzbogacić nasz przemysł krajowy, założyła w r. 1885, w specjalnie wybudowanym gmachu przy ul. Hożej nr. 45, na wielką skalę mechaniczną fabrykę broni; lecz wobec wyżej wymienionej konkurencji z fabrykami zagranicznymi,

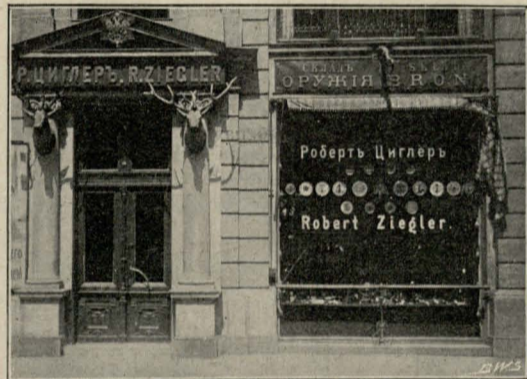


Zakład puszkarSKI (warsztat) przy rogatce Mokotowskiej.

pomimo że broń wyrabiana w tej fabryce nie ustępowała najlepszym tego rodzaju wyrobom zagranicznym, została zamknięta w r. 1901, a firma poprzestała na utrzymaniu w dalszym ciągu, założonego jeszcze w r. 1871 Zakładu puszkarSKIEGO, zatrudniając w nim około 30 wykwa-

lifikowanych robotników, z pośród których od lat kilku przeszło 25 pracuje w tym zakładzie, co bez wątpienia stanowi nielada rękojmię sumiennosci wykonania powierzonych robót.

Poza tem firma posiada jeden z najstarszych i największych składów broni, w którym znajdują się wyroby najznakomitszych fabryk zagranicznych, mianowicie: *G. Defourny-Sevrin* w Leodyum (Liège), której właściciel był szefem słynnej niegdyś na cały świat fabryki Augusta Lebeau. Wyroby tej fabryki są istnemi arcydziełami sztuki puszkarSKIEJ, przewyższającemi swą precyzją i gustem wykończenia najświetniejsze wyroby angielskiego puszkarstwa; dalej: *James Purdy & Sons* w Londynie, *Holland and Holand Ltd.* również w Londynie, *Manufacture Liegeoise d'armes à feu*



Widok zewnętrzny składu broni przy ul. Trębackiej nr. 10.

(Manufaktury Lieżkiej) w Leodyum (Liège), jednej z największych i najwzorowiej prowadzonych fabryk, w której wyłącznem posiadaniu są najwyższe marki, stalowych luf firmy *Cockeril*, wreszcie *Westley Richard & Co. Limited* w Londynie i wielu innych.

Skład firmy, mieszczący się w domu dochodowym Teatrów warszawskich przy ul. Trębackiej nr. 10, w obszernym i elegancko urządzonym lokalu, zaopatrzonej jest oprócz tego we wszelkie przybory do broni, oraz artykuły myśliwskie i sportowe, tak własnego wyrobu, jak również francuskich i angielskich fabryk.

Ale najwięcej godnym uwagi oddziałem tej znanej



Robert Ziegler, obecny właściciel firmy.

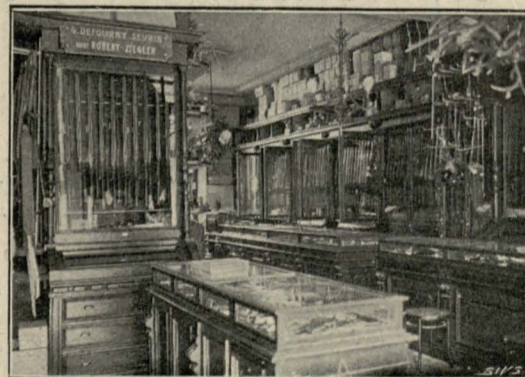
i zasłużonej firmy jest bez wątpienia *Strzelnica*, którą obecny szef firmy, p. Robert Ziegler, założył w r. 1901 w bardzo gustownym pod względem struktury, specjalnie na ten cel zbudowanym gmachu przy rogatce Mokotowskiej, tuż około toru i stacy kolejki Wilanowskiej.

P. Robert Ziegler, wychodząc z tej słusznej zasady, że obecnie, gdy technika puszkarSKA rozwija się bardzo, z dnia na dzień niemal przynosząc coraz to nowe ulepszenia i wynalazki, gdy w handlu ukazują się ciągle nowe, ulepszone prochy strzelnicze i pociski, okazała się nieodzowna potrzeba takiego zakładu, w którym możnaby prowadzić doświadczenia balistyczne, próbować nabywaną broń oraz oceniać nowe, ulepszone prochy i pociski.

Poza tem p. Robert Ziegler, pragnąc z całą sumiennością wywiązać się ze swego zadania, nie wypuszcza żadnej broni ze swego składu bez uprzednich prób, dokonywanych w strzelnicy i dopiero przekonawszy się o dobroci strzału, wytrzymałości i precyzji danej broni, oddaje ją w ręce nabywcy. Ułatwia mu to w dużej mierze posiadana w strzelnicy specjalna maszyna do próbowania celności patentu inż. Borchard'ta, znanego wynalazcy broni automatycznej, nazwanej jego imieniem.

Dla tych właśnie celów założył p. Robert Ziegler swoją strzelnicę, która jest jedyną tego rodzaju instytucją w Polsce i Rosyi, i urządzona jest nie tylko według ostatnich wymagań balistycznych, lecz również z komfortem, którego by się nie powstydzila pierwszorzędną instytucja tego rodzaju za granicą.

Wobec tak postępowo i z taką rzadką sumiennością prowadzonego interesu, nic dziwnego, że firma z roku na rok powiększa swoje obroty i zjednywa sobie coraz to szersze koła klientów nie tylko w Królestwie, ale i w Cesarstwie, a nawet w Syberyi.



Widok wewnętrzny składu broni przy ul. Trębackiej nr. 10.

Lecz nie tylko powodzenie materialne jest udziałem tej starej i zasłużonej firmy, na licznych bowiem wystawach krajowych i rosyjskich, w których brała udział, odznaczana zawsze była najwyższymi nagrodami w postaci złotych i srebrnych medalów, co łącznie z tytułem dostawcy wielu towarzystw myśliwskich, polowań CesarSKICH i t. d., najlepiej chyba świadczy, jak poważną i solidną opinią cieszy się firma Roberta Zieglera wśród najwięcej miarodajnych sfer.

ST. C.

N A D E S Ł A N E.

PASKI DAMSKIE gumowe, gurtowe,
skórkowe i szucho-
wo-gumowe

oraz **TOREBKI DAMSKIE**

w wielkim wyborze poleca

STEFAN POREBSKI

Kraków, Rynek 32, linia C-D

C-SKORYNAJSKA FABRYKA MASZYN
I KAMIENI MŁYŃSKICH
BUDOWA MŁYNÓW
WARSAWA-PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE.
OLSZOWA 14 TURBINY, TRANSMISJE i. t. p.

HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT

Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod
własnym zarządem. Centrum miasta.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja
Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Chłodna Nr 18, Niecała Nr 9, Długa Nr 7, Leszno Nr 4,
Nowy-Świat Nr 49, Sienna Nr 2 a, Praga Brukowa Nr 32, Długa Nr 19.
Filie: Łódź, Zielona Nr 5. Częstochowa, II Aleja Nr 34.

WYDAWNICTWA GEBETHNERA I WOLFFA

MARTA NORKOWSKA:

PIEKARNIA I CUKIERNIA

wytworna i gospodarska z ilustracjami.

Cena rub. 1, w opr. kart. rub. 1.20.

NAJNOWSZA KUCHNIA

wytworna i gospodarska

zawiera 1240 przepisów gospodarskich z uwzględnieniem kuchni
jarskiej, z **ilustracjami**, wzory nakrycia stołu, sposób ogólny po-
dawania przekąsek i potraw, 70 wzorów „Menu” skromnych
i wystawnych śniadań, obiadów i kolacji na każdą porę roku i t. d.
Wydanie nowe powiększone. Cena rub. 1.80, w kart. rub. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.


Nagrodzone **złotymi medalami**, a zalecane przez pp. doktorów i lekarzy-
dentystów: eliksir, pasta i proszek

„TYMENTOL“

jako najlepsze środki do czyszczenia i konserwowania **zębów**, oraz odświeża-
nia jamy ustnej. Poleca Centralne Laboratorium Chemiczne w Warszawie.
Sprzedaż w składach aptecznych.

JÓZEF FRAGET

FABRYKA
WYROBÓW PLATEROWANYCH
I SREBRNYCH 84-ej PRÓBY
Warszawa, Elektoralna 753/16.
SKŁADY:
Wierzbowa 8. Nalewki 16.



NARZĘDZIA LEKARSKIE,
ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE,
WYROBY NOŻOWNICZE

Bronisław Krug

Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47.
Ceny fabryczne. Wysłka za zaliczeniem.

Nowe maszyny
DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI

„APOLLO“

nadzwyczaj dogodne w użyciu, nieod-
zowne w każdym gospodarstwie.

PASY SKÓRZANE

oryginalne angielskie w najlepszych
gatunkach, poleca

ALFRED GRODZKI

Warszawa, 33, Senatorska.

FORTEPIANY, PIANINA,
PIANOŁE, FONOLE



GEBETHNER i WOLFF

ORGANY, MELODYKONY

Warszawa, Krak.-Przed. 17

LECZNICA DLA DZIECI

D-ra Juliana Gawrońskiego

Plac Ś-go Aleksandra 18 (róg Brackiej),
telefon 40-33. Przyjęcia od godz. 9 do 11
rano. Porada 50 kop.

NAJLEPSZA KAWA

SKONCENTROWANA

EXTRAIT de MOCCA

Eugeniusz Widigier i S-ka

WARSAWA,

Al. Jerozolimska 25, tel. 35-33.



J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

Denaturowany spirytus.

Spirytus stały w puszkach,
spirytusowe lampy, palniki,
kuchenki, żelazka i t. p.

B-CIA WIŚNIEWSKY i S-ka
Foksal 18, Telefon 3089.

LUDWIK SZUFA
KRAWIEC

KRAKOW TELEFON 671

MARIENBAD „Haus Hamburg”
dr. St. Benedykt
Kwiatkowski, b. I Asystent kliniki chorób
wewnętrznych Uniwersytetu Jagiellońskiego,
ordyn. od 1 maja do 1 października.

MARYÓWKA

Sanatorium i Zakład wodolecznicy pod
Lwowem. Przyjmuje chorych celem leczenia.
Wszelkich wyjaśnień i prospekty odwrotnie
wysyła właściciel dr. Józef Zakrzewski.

Nagrodz. złotym medalem na wyst.
przemysł.-zdrojowej w Ciechocinku

Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzeiniowych T. & W. Krakowscy

Kantor: Warszawa,
Nowogrodzka 36. Tel. 36.83.

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn **Krakowskie Przedmieście № 15** dom Hrabiego J. Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF. Współredaktor literacki Artur Oppman (Or-Ot). Kierownik artyst. Józef Holewiński. Sekr. red. Stefan Gorski. Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2. — Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych nadesł. do redakcyi, nie zwraca się